



Głos ANGLII



★ JY G O D N I O W Y P R Z E G L A D S P R A W B R Y T Y J S K I C H ★

Rok III

Kraków, 21 lutego 1948

Nr. 8 (69)

Od Redakcji

Oświadczenie rządu brytyjskiego, dotyczące konieczności wstrzymania na jakiś czas ogólnej zwyczajki płac, zwróciło na siebie powszechną uwagę. Decyzja ta w niektórych środowiskach została naświetlona jako sp. zeniewierzenie się odpowiedzialności wobec ludzi pracy oraz jako posunięcie zmierzające do obniżenia ich stopy życiowej. Trudno o bardziej niezgodny z prawdą obraz. Oświadczenie rządu dotyczy nie tylko uposażeń, ale każdego rodzaju dochodu, osiąganego czy to w formie zysku, czy renty, dywidendy lub wynagrodzenia za pracę. Decyzja rządu oznacza, że wszelka zwyczajka płac musi stać w stosunku prostym do zwiększenia produkcji i do znaczenia danej usługi dla całości krajowej gospodarki. Te ostatnie czynniki mają zasadnicze znaczenie, co w każdym państwie prowadzącym planową gospodarkę jest samo przez się zrozumiałe.

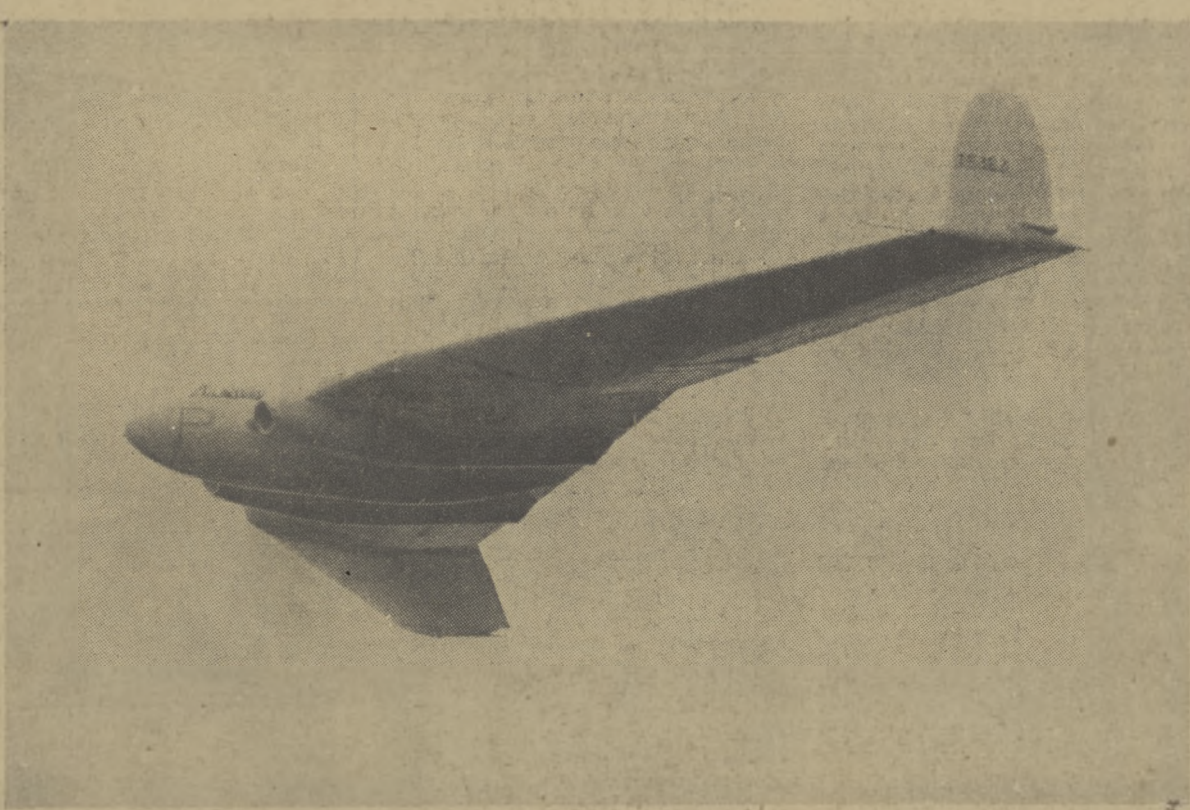
Rząd brytyjski nie uczynił nic innego, jak tylko zwrócił uwagę na sytuację krajowej gospodarki w stosunku do handlu światowego, zwłaszcza w stosunku do eksportu i zaangażował się tylko o tyle, że oznajmił, iż kontrola cen niekoniecznie musi być zniesiona, by pozwolić na wzrost kosztów produkcji, które wyniknęłyby z podwyższenia płac albo ze zwiększenia zysków.

Ażeby zrozumieć oświadczenie rządu, należy również zdać sobie sprawę z pozycji Trade Unionów tak w ich stosunku do Kongresu Trade Unionów jak i do rządu. T. U. C. nie ma istotnej władzy nad poszczególnymi Trade Unionami. Jest organem wykonawczym, w którym afiliowane Trade Unions mają swoich przedstawicieli i za pośrednictwem którego porozumiewają się, celem ogólnego uzgodnienia swej polityki. Jednakże sprawy administracyjne poszczególnych gałęzi pracy, stanowisko ich wobec roszczeń o wyższą płacę czy wobec wszelkich innych kwestii, są to w ostatniej instancji sprawy obchodzące odnośny związek zawodowy.

Zwykle, co prawda, Trade Unions godzą się na wytyczne TUC-u, ale integralną częścią brytyjskiej koncepcji demokracji społecznej jest zasada, że każdy Trade Union powinien swobodnie rozstrzygać o swych własnych sprawach, zgodnie z wolą swych członków i z wyrazem wolnej opinii społeczeństwa. TUC, który łącznie z Labour Party i z ruchem spółdzielczym tworzy triumwirat w Radzie Pracy, jest w stosunku do rządu — obojętny czy to będzie rząd Labour Party, czy konserwatywny — zupełnie niezależny i określa swoją politykę, mając na względzie wyłącznie interes Trade Unionów, które reprezentuje. W teorii na ogół TUC postępuje zgodnie z polityką rządu — w rzeczywistości nieuniknione są różnice poglądów w szczegółach, a od czasu do czasu i w ważniejszych kwestiach — ponieważ TUC ma przede wszystkim interes swych członków na oku.

Wobec tego wszakże, że rząd pragnie uniknąć zwyczajki uposażeń, chyba, że jest ona usprawiedliwiona z wymienionych wyżej powodów, ciękawie będzie zwrócić uwagę na cyfry. Na stronie 3 naszego pisma zamieściliśmy tabliczkę z wykazem ilości osób objętych podwyżką płac i łączne cyfry podwyżek tygodniowych w latach 1946 i 1947. Oczywiście ogólny dobrobyt robotników we wszystkich gałęziach przemysłu oraz co za tym idzie, dobrobyt całego narodu musi pozostać nadal głównym celem rządu. Rząd wypełnia tylko swój obowiązek, wskazując na zbudną korzyść wzrostu płac. Bowiernie wzrost ten pociąga za sobą wzrost cen.

„Latające skrzydło”



„Latające skrzydło” — najnowszy brytyjski samolot o napędzie odrzutowym w czasie swego pierwszego lotu. Nazwa, którą mu nadano, jest zupełnie usprawiedliwiona. Proszę spojrzeć na zdjęcie. Główną część samolotu stanowi skrzydło, ogona w ogóle nie ma. „Latające skrzydło” rozwija szybkość 890 km na godzinę, a waży 14.969 kg. Samolot wyposażony jest w najnowsze urządzenia sterowe i kontrolne. (Patrz str. 3: art. „Latające skrzydło”).

MUSIMY UNIKNAĆ INFLACJI

Minister skarbu, sir Stafford Cripps, przemawiając podczas debaty Izby Gmin, zainicjowanej przez p. Edena na temat sprawozdania rządu, dotyczącego osobistych dochodów, cen i zysków, oświadczył: „Mimo oszczędności i całego systemu racjonowania, istnieje poważne niebezpieczeństwo dla naszej gospodarki z powodu zwyczajki indywidualnych dochodów i cen.”

Chcemy przede wszystkim zapobiec zwyczajce, ale kiedykolwiek i gdziekolwiek tylko istnieje nadwyżka siły nabywczej w rękach jednostki, chcemy wykorzystać ją dla inwestycji, oszczędności czy w jakiś inny sposób.

Co się tyczy osobistych dochodów, podzielimy pogląd jasno wyrażony w sprawozdaniu, że rząd nie może regulować wysokości osobistych dochodów jednostki; nie proponujemy zatem, aby rząd wprowadził jakąkolwiek bezpośrednią ich reglamentację.

Oczywiście, że rząd występując jako pracodawca, czy finansując niektóre specjalne urzędy, lub kontrolując ceny, musi dać dobry przykład, stosując się do swych własnych nakazów. Ale, poza pewnymi wyjątkami, ustalenie wysokości osobistych dochodów jednostki musi się pozostawić swobodnej decyzji zainteresowanych.

Ta wysoka pożądana i prawie przez wszystkich upragniona swoboda może się jednak okazać wielce niebezpieczna, chyba, że ci co jej używają, zrozumieją sytuację kraju i są gotowi ograniczyć osobiste zachcianki stosownie do potrzeb kraju.

Chcę podkreślić, że to musi być wspólnym wysiłkiem wszystkich warstw ludności. Gdyby jakakolwiek warstwa społeczeństwa starała się osiągnąć przywileje przed innymi, wtedy oczywiście nie można spodziewać się, aby inni pohamowali swe pretensje w stosunku do społeczeństwa. Nikt nie może być tutaj wyłączonej.

Zniżka cen doprowadzi do redukcji zysków przedsiębiorców; był to jak dotąd najbardziej zadawalający sposób osiągania tej redukcji. Okazał się on lepszy niż zwiększenie podatku od zysku, ponieważ każdy skorzystał ze zniżki cen; równocześnie usunęło to zarzut, że wię-

kszy procent zysku ze sprzedaży towarów szedł do kieszeni przedsiębiorcy.

Jest to szczególnie ważne w tej chwili, kiedy rosną żądania o zwyczajkę płac, usprawiedliwione zwyczajką cen i świadomością istnienia dużych zysków.

Najlepszą drogą do powstrzymania tych żądań jest zapobieżenie zwyczajce cen i zysków, które zwiększyłyby koszty życia.

Wystosowałem zatem odezwy do Federacji Brytyjskich Przemysłów i innych organizacji, reprezentujących fabrykantów, hurtowników i kupców detalicznych, zarówno artykułów żywnościowych, jak i innych towarów. Zwróciłem się do nich, by opracowali plan dla obniżki cen i zysków i zawiadomili mnie o swym projekcie w przeciągu miesiąca.

Z zadowoleniem stwierdzam, że już otrzymałem odpowiedź od Federacji, iż uczyni ona wszystko, co

w jej mocy, by dopomóc mi w tej sprawie.

Podkreślam z naciskiem, że w chwili obecnej podjęcie jakiegokolwiek skutecznej akcji jest absolutną koniecznością.

Jeśli tego nie zrobimy, zaostrzymy tylko groźbę inflacji. Jedynie w okolicznościach najbardziej wyjątkowych ceny mogą być podniesione ponad obowiązujący obecnie poziom. W nielicznych, wyjątkowych wypadkach, gdzie pozwolono już na podwyżkę cen ubrania i żywności, trzeba uwzględnić takie czynniki, jak zwiększone koszty importu. Ale tam, gdzie były ustalone ceny maksymalne, nie było powodu, aby zawsze osiągały wyznaczoną stawkę, chociaż weszło to już w zwyczaj bez względu na koszty produkcji.

Umiarkowane zyski są sprawiedliwą zapłatą; nadmierne zyski szkoda całemu systemowi ekonomicznemu.

Gdyby ci, którzy żyją z zysków, okazali gotowość do ofiar, wtedy można by się spodziewać, że żyjący z płac i pensyj również okazaliby karność i nie wykorzystywaliby koniunktury, wynikającej z braku rąk do pracy.

Nadeszła godzina wielkiej próby dla naszej demokracji.

Musimy podjąć kroki i to kroki natychmiastowe, by uniknąć niebezpieczeństwa, które wymieniliśmy. Czy potrafimy je podjąć w sposób demokratyczny przez nieskrępowany wybór, czy też musimy zażądać przeprowadzenia siłą naszych zamiarów? Skrajni lewicowcy i pracownicy mogą zażądać, by zastosowano presję wobec pracodawców czy robotników. Oczywiście mogą oni nalegać na swych zwolenników, by się nie zgodzili. Minister jest jednak przekonany, że o wiele lepszym i skuteczniejszym sposobem załatwienia tych trudności jest zgoda wszystkich zainteresowanych. Jest przekonany, że ten pogląd stanie się sam przez się zrozumiały dla większości narodu. Jeśli mam słuszość — powiedział minister — wówczas musimy podjąć akcję, bo same słowa nie uratują sytuacji. W ramach tej wielkiej polityki po-

(Dokończenie na str. 2)

W numerze:

TEL WIZJA W KINIE I KINO W ŚWIELE DZIENNYM

SLAWISTYKA NA UNIwersytecie BRYTYJSKIM

Z OBIEKTYWEM W ST. MORITZ

W PAZURACH LWA

PRAWDZIWE OBLCZE STALYCH MISTRZÓW

OTWARCIE MOSTÓW W SZCZECINIE

Ambasador W. Brytanii Sir Donald St. Clair Gainer został zaproszony przez polskiego ministra komunikacji do Szczecina, aby dnia 8 lutego wziąć udział w ceremonii otwarcia dwóch mostów kolejowych, zbudowanych (jeden całkowicie, a drugi częściowo) z materiału ofiarowanego rządowi polskiemu przez rząd J. Kr. Mości.

Materiał do konstrukcji mostów składa się z prześen typu Everalla, udoskonalonych przez oficera brytyjskiego tego nazwiska podczas wojny, i wykazał duże zalety przy budowie stałych mostów dla ruchu wojskowego. Materiał ten, którego wartość ogólna wynosi pół miliona funtów szterlingów został ofiarowany rządowi polskiemu przez rząd brytyjski, który pragnął w ten sposób przyjąć z pomocą przy budowie systemu komunikacyjnego. Dwa mosty zostały już zbudowane: jeden przez Wisłę w Tczewie, a drugi przez Nogat w Malborku. Z dwóch otwartych dnia 3 lutego, jeden przebiega nad Regalicą, a drugi nad Odrą tuż za Szczecinem.

Ambasador wraz z małżonką udał się do Szczecina specjalnym pociągiem ministra komunikacji w towarzystwie ministra oraz większej grupy wyższych urzędników polskich, reprezentujących różne ministerstwa i organizacje.

Główna ceremonia miała miejsce na moście nad Odrą, udekorowanym polskimi i brytyjskimi flagami. Wyżeli przedstawiciele lokalnych organizacji wygłosili szereg mów, a orkiestra kolejowa odegrała polski i angielski hymn narodowy. Następnie otwarto drugi most, już z mniejszym ceremoniałem, po czym goście udali się pociągiem na zwiedzenie nowootwartego promu przewozowego na Odrze, naprzeciwko Swinoujścia. Po powrocie do Szczecina władze miejskie wydały na ich cześć uroczysty obiad w salach ratusza.

W czasie tego przyjęcia minister komunikacji Rabanowski wygłosił przemówienie, w którym powitał ambasadora W. Brytanii i wyraził podziękowanie rządowi polskiemu za dar brytyjskiemu za tak cenny dar. W odpowiedzi ministrowi polskiemu, Sir Donald Gainer powiedział, że dar ten był dowodem życzliwości narodu brytyjskiego dla narodu polskiego w jego walce o odbudowę swego zniszczonego kraju i wyraził nadzieję, że mosty te służyć będą nie tylko potrzebom polskiego systemu komunikacyjnego, lecz będą również symbolem duchowego ognia łączącego naród Polski z narodem W. Brytanii.

Krótkie przemówienie ambasadora zostało przyjęte hucznie; oklaskami ze strony gości obecnych na obiedzie, których liczba wynosiła około 150 osób.

Wycieczka odbyła się w atmosferze prawdziwej przyjaźni i wzajemnego szacunku, a polscy gospodarze okazali należyte zrozumienie dla spontanicznego daru brytyjskiego rządu, zaś ambasador ze swej strony ocenił serdeczność przyjęcia i dowody szczerej wdzięczności, wyrażone przez władze polskie.

PRENUMERATY POCZTOWE

Zawiadamiamy, że przy prenumeracie od 20 egzemplarzy wzw., (dla szkół, instytucji etc.), udzielamy zniżki 20%, oraz sami pokrywamy koszty wysyłki. Zgłoszenia, oraz wszelkie wpłaty na prenumeratę prosimy kierować pod adresem:

Redakcja „GŁOSU ANGLII”
Kraków, Garncarska 14/2

MUSIMY UNIKNAĆ INFLACJI

trzebujemy współpracy wszystkich. Prócz wymienionych przez ministra istnieją również i inne dziedziny, co do których można zastosować zasadę kontroli cen. Zmieni się zasady, którymi kierowały się dawniej departamenty kontroli cen, rozpatrujące zgłoszenia o wyższości.

W przeszłości wyższości były dozwolone tam, gdzie usprawiedliwiały je koszty, udowodnione danymi finansowymi, pod warunkiem, że zyski były umiarkowane.

W przyszłości departamenty nie będą pozwalać na żadne niezgodne z wymaganiami sprawozdania wyższości, czy to z góry prelimitowane, czy wynikające z dodatkowych kosztów, powstałych na skutek wyższości plac.

„Zgodnie z tym — mówił Cripps — minister Przemysłu i Handlu proponuje, aby dla tych fabrykantów, którzy dotąd nie podlegali dość ścisłej kontroli, ustalić natychmiast pułap cen według normy, która obowiązywała fabrykantów wszelkich towarów, objętych systemem kontroli, podczas dwóch miesięcy, kończących się 31 stycznia b. roku.

Równocześnie przy sprzedaży tych towarów określę się maksymalne ich ceny. Rezultatem mojej akcji będzie umożliwienie tego, by w miarę możliwości, dochody pozostały na obecnym poziomie. Ale każdy z tych kroków jest jedynie tymczasowy, by utrzymać pozycję przez ten czas, w którym fabrykanci i rozdzielnicy rozpatrują moje żądania i przygotowują własne propozycje.

Naszym celem jest, by w granicach możliwości obniżyć ceny, a w ten sposób zmniejszyć zyski.

Następne kroki, które okażą się konieczne, będą zależały od propozycji wysuniętych przez rozmaite organizacje, z którymi się porozumiewam. Odpowiedzi ich należy się spodziewać na długo przed datą ustalenia budżetu.

Minister Przemysłu i Handlu proponuje dalej, by za pomocą rozporządzenia zastrzec sobie, iż jeśli chodzi o towary, dla których system kontroli cen jest najodpowiedniejszy ze względu na ich rozmaitość — żadna zwykła kosztów produkcji, wywołana zwykłą plac, udzieloną po opublikowaniu sprawozdania, nie była brana pod uwagę w ustalaniu cen, chyba że pozwolenia udzieli Ministerstwo Handlu.

Oto jest natychmiastowa akcja, przez którą rząd może się przyczynić do poprawy sytuacji. Poza tym

musimy czekać odpowiedzi na nasze propozycje.

Niektórzy pracodawcy ulegli pokusie i przeszli do porządku nad przyjętą formą umów, ażeby w ten sposób zdobyć sobie siłę roboczą przed innymi.

Jeśli mamy ustabilizować naszą gospodarkę, nie można dopuszczać do takich odchyłań. Ale w wielu gałęziach przemysłu zdarzały się wypadki, że dla specjalnych powodów istniał zwyczaj dodatkowej zapłaty.

Takie umowy są nieuzasadnione i w sprawozdaniu wysunięto propozycję, że należy im przeszkodzić.

Dążymy do osiągnięcia ogólnej stabilizacji.

Nie staramy się zapobiec wprowadzeniu poszczególnych poprawek w ramach ogólnego stałego poziomu plac — poprawek, które zawsze muszą mieć miejsce, specjalnie w tych wypadkach, kiedy potrzeby krajowe wymagają zachęty do pracy lub jeśli chodzi o pewne zasadnicze gałęzie przemysłu, gdzie brak rąk roboczych może okazać się niebezpieczny.

Nie powinniśmy wyrzekać się elastyczności, koniecznej do osiągnięcia zwiększonej produkcji. Mimo że w pewnych instytucjach pertraktacje o wyższości plac były już w toku, musimy zażądać, ze względu na krajowe trudności, by zostały one albo zupełnie wstrzymane, albo rozpatrzone w świetle zasad przedłożonych w sprawozdaniu.

Zajmujemy się trudnościami, które dotyczą przyszłego roku lub lat najbliższych a nie wieczności. Nie sugerujemy, że nigdy nie będzie podwyżek w placach i wynagrodzeniach, ale dopóki nie znajdziemy wyjścia z obecnych trudności, musimy wszyscy solidaryzować się w tej sprawie, która dotyczy osobistych dochodów; musimy przygotować się na oczekiwanie tej chwili, kiedy naglące potrzeby narodu nie będą tak przemienne jak obecnie.

Trudno określić, w których gałęziach przemysłu jest taki brak rąk do pracy, że wywołuje konieczność wyższości plac. Dotyczące dane są zawsze zmienne — należy zaufać zdrowemu rozsądkowi kierujących danym przemysłem, że po porozumieniu się z robotnikami zadecydują, czy potrzebne jest powołanie specjalnych kroków celem zwerbowania sobie siły roboczej. Ze sprawozdania jasno wynika, że tam, gdzie uzyskano zwiększenie produkcji, możliwością wyższości plac i uposażeń nie jest

sprzeczna z interesem narodu. Może się zdarzyć, że nawet teraz istnieją wyjątkowe wypadki, gdzie stawka plac nie jest na odpowiednim poziomie, skutkiem całkiem wyjątkowych okoliczności. Mimo że trudno sobie wyobrazić istnienie takiego wypadku, z punktu widzenia społecznego zwykła płacy byłaby wówczas usprawiedliwiona.

Zapytywano, czy minister wziął pod uwagę możliwość zmniejszenia podatku od zakupu towarów, celem obniżenia cen. Posunięcie takie nie spowodowałoby uprągniętego skutku: nie zmniejszyłoby zysków — mogłoby wywołać coś wprost przeciwnego. Rząd uważa, że obniżenie cen i utrzymanie podatku jest najlepszą metodą.

Nie można dość silnie podkreślić faktu — ciągnął dalej minister — że to, czego domagamy się od narodu, jest niesłychanie trudną próbą dla naszej demokracji. Nikt nie może się ludzi co do powagi naszej sytuacji. Musimy i chcemy przezwyciężyć te trudności. Mimo że inni z czasem na pewno nam pomogą — tak, jak my będziemy próbować pomagać innym, powodzenie nasze będzie przede wszystkim i ostatecznie zależeć od naszych własnych wysiłków. Póki trwa ta walka, żaden z nas nie może sobie pozwolić na podniesienie swej stopy życiowej, ponieważ przez dłuższy czas nie możemy dopuścić więcej towaru na rynek wewnętrzny. Ile czasu uolynie, zanim będziemy mogli podnieść naszą stopę życiową, zależy po pierwsze od naszej własnej produkcji, a po drugie od warunków, na których wymieniamy eksport za import. Jeśli obecnie nie potrafimy praktykować demokratycznej powściągliwości, nagle fakty zmuszą nas do wywarcia presji, czego rząd pragnąłby na pewno uniknąć. Bardzo ważnym dla naszej przyszłości jest to, byśmy w tych trudnych czasach zdołali uratować nasz system wolnych umów zbiorowych; ale uratowanie tego systemu zależy od tego, w jakim stopniu, jako naród, potrafimy się zdołać na powściągliwość. Dlatego to proszę Izbę o udzielenie nieograniczonego poparcia dla polityki przedłożonej przez rząd, tak w Izbie, jak i w parlamencie. Musimy społeczeństwu wyjaśnić to, czego od niego wymaga trudna jego sytuacja — z chwilą gdy zrozumie ono te konieczności, spodziewamy się, że pójdzie za przewodem parlamentu.



Dr GEORGE GRETTON

Stabilizacja nowych standartów życia

Brytyjska polityka plac

Gdy premier W. Brytanii, p. Attlee, przedkładał ostatnie oświadczenie rządu, dotyczące osobistych dochodów, kosztów i cen, było to zarazem zapowiedzią nowego etapu w polityce ekonomicznej.

P. Attlee przedstawił wytyczne, na których powinny się opierać wszystkie osobiste dochody w W. Brytanii w obecnym stadium odbudowy.

Premier oświadczył, że w rezultacie nie może być dalszych wyższości w placach, wynagrodzeniach, czy zyskach, chyba że dla rozmaitych powodów taka zwykła plac leży w interesie narodu, by przyciągnąć siłę roboczą do poszczególnych gałęzi przemysłu.

Innymi słowy ilość pieniędzy w obiegu musi być bezwzględnie utrzymana na obecnym poziomie aż do tego czasu, kiedy plan produkcji będzie mógł dostarczyć więcej towarów dla krajowych rynków, by równoważyć siłę nabywczą i położyć kres ciśnieniu inflacyjnemu, które daje się odczuć w W. Brytanii tak, jak i we wszystkich innych krajach świata.

By zrozumieć pełne znaczenie tego oświadczenia, konieczne jest rozpatrzyć fakty, dotyczące społecznej i ekonomicznej rewolucji, która miała miejsce w W. Brytanii w ciągu ostatnich trzech lat.

Można sobie wyobrazić pewne pojęcie o dobrobycie robotników, porównując fluktuację w wysokości plac z fluktuacjami kosztów utrzymania. Od 1939 r. wysokość plac podskoczyła przeciętnie o 73%. Nieświsty nie możemy przeprowadzić rzeczywistego porównania stopy życiowej obecnej z przedwojenną, ponieważ podstawa wskaźnika zmieniła się w czerwcu 1947 r., nie przedstawiała bowiem pełnych wydatków rodziny robotniczej w czasach dzisiejszych.

W tym czasie statystyka wykazywała wyższość 30% w stosunku do 1939 r. Ale nie oceniono w niej należycie wyższości kosztów życia.

Należy rozpatrzyć jeszcze inne czynniki: zarobki wzrosły zarówno dzięki wysiłkom robotników jak i polepszeniu plac; z drugiej strony wielu robotników musi dzisiaj płacić podatek dochodowy. Na ogół jednak robotnikowi lepiej się powodzi teraz niż przed wojną. Jednakowoż pensje miesieczne i niektóre inne formy dochodu nie wzrosły tak, jak tygodniowe płace robotnicze, podczas gdy wysoka progresja bezpośredniego podatku, dochodząca do 94% od naprawdę dużych dochodów gwałtownie obniżyła standard życia grup wysoko uposażonych i wywołała ponowny rozdział siły nabywczej i konsumpcji. Równocześnie skuteczność systemu racjonowania doszła do maximum ludzkich możliwości w sprawliwym rozdziale dóbr podstawowych.

Wszystkie te czynniki razem wzięte przyczyniły się do tego, że począwszy od 1939 r. standardy życia w W. Brytanii osiągnęły wyrównanie, jakiego nie notowano w historii żadnego kraju.

Oto co rozumiemy pod nazwą

społecznej i ekonomicznej rewolucji. Dalszym uzupełnieniem tego procesu jest ogromny rozwój służb społecznych, które przynoszą wielkie korzyści najbiedniejszym klasom. Do tych instytucji zaliczamy ubezpieczenia społeczne, wedle planu Beveridge'a, zapomogi dla rodzin, opiekę społeczną nad dzieckiem, posiłki w szkole, przydziały taniego mleka oraz stołówek dla pracujących.

Faktem jest, że w fabryce, gdzie stołówka prowadzona jest naprawdę odpowiednio, robotnik może dostać również wystarczający posiłek za nie całego szylinga, jak każdy, kto kupuje go za 5 szylingów (0.25 funta) w restauracji po maksymalnie naznaczonej cenie.

Stosowany obecnie system zasiłków żywnościowych na sumę prawie 400 milionów funtów rocznie pozwala, by ceny za podstawowe artykuły żywnościowe były utrzymane na minimalnie tylko wyższym, niż przed wojną poziomie. Jest to dalsza forma sprawliwego podziału rzeczywistych dochodów, która zapewnia ludności równy udział w korzyści z artykułów żywnościowych dostępnych poza kartkami. Są kraje — między innymi te, których sytuacja żywnościowa jest lepsza, niż w W. Brytanii — gdzie racjonowanie nie daje rezultatów, po prostu dlatego, że najbiedniejsze klasy nie mogą zapłacić nawet za artykuły przydziałowe.

W. Brytanii stoi w obliczu poważnych ekonomicznych problemów odbudowy, częściowo z powodu panujących na świecie warunków, a częściowo z powodu niezbędnego przystosowania gospodarki do celów wojennych w latach 1939—1945.

Tak nagląca obecnie konieczność zwiększenia eksportu, w chwili gdy warunki handlowe są niepożądane dla W. Brytanii, oznacza dalsze wzmoczenie groźby inflacji. To sprawia, że konieczność zachowania dyscypliny ekonomicznej staje się nakazem chwili. Karność ta pozwoliła narodowi brytyjskiemu przetrwać tyle ciężkich prób w ostatnim dziesięcioleciu. Do niej właśnie odwołuje się p. Attlee, formułując nową politykę plac.

Oświadczenie p. Attlee oznacza, że w celu ustabilizowania brytyjskiej gospodarki, odnośne standardy życia muszą być przez jakiś czas utrzymane prawie na ich obecnym poziomie. W świetle postępu, jaki miał miejsce w ostatnich trzech latach, jasne jest, że zdobyć społeczną i ekonomiczną rewolucję została umocniona.

Następnym etapem musi być wzmoczony postęp we wszystkich kierunkach, osiągnięty przez zwiększenie produkcji i przy pomocy, jak się spodziewamy, ogólnego zwiększenia obrotów w handlu światowym. W obecnej chwili wezwano raz jeszcze naród brytyjski do zachowania karności.

Patrząc wstecz na społeczne osiągnięcia ostatnich trzech lat, naród brytyjski może być przekonany, że jego opanowanie wyda należyte owoce.

POGLĄDY PRASY BRYTYJSKIEJ

PLACE I ZYSKI WOBEC KRYZYSU

REYNOLDS NEWS pisze: „Premier Attlee i minister Stafford Cripps powtórnie w mocnych słowach wyrazili powagę sytuacji, ostrzegając, że W. Brytanii szybkimi krokami zmierza do nowego kryzysu ekonomicznego.

Wszyscy zgodzą się z tym, że jedynym rozwiązaniem może być tylko wzrost produkcji oraz zwiększenie ilości towarów, wchodzących w skład wymiany handlowej z innymi narodami. Produkcja i eksport są kluczami naszej przyszłości“. Pismo sądzi jednak, że rząd popełnił pomyłkę, podchodząc z takim naciskiem do zagadnienia dochodów indywidualnych, gdyż o ile mówi stanowczo o tym, że nie może być ogólnej wyższości plac, o tyle w kwestii zysków wypowiedzi jego są znacznie mniej sprecyzowane. Odezwa zaś rządu o zmniejszenie zysków będzie miała niewiele większy skutek od głosu wołającego na puszczy.

„Brytyjski robotnik jest jednym z najbardziej zrównoważonych ludzi na świecie. Wie on dobrze, ile zyskał pod rządami Partii Pracy i zdoła się na ofiary, jeśli uzna je za konieczne i będzie miał pewność, że poniesie je również całe społeczeństwo dla dobra ogółu. Słaba stroną sprawozdania jest to, że stwierdzając istnienie kryzysu, wymienienia tylko jednego głównego kandydata do ponoszenia ofiar. Wzywamy rząd do naprawienia tego błę-

du przez ogłoszenie, że w nowym budżecie przewidziane będzie znaczne zwiększenie podatków od zysków łącznie z zyskami od kapitału“.

Artykuł wstępny nawiązuje do innej strony polityki rządu, o której mówi: „Stafford Cripps we wszystkich swych mowach nawołuje do konieczności zwiększenia eksportu do krajów dolarowych. Tu również, jak sądzimy, nacisk polityczny obciąża zbytnio jedną stronę naszych planów odbudowy. Największy kraj dolarowy — Stany Zjednoczone — posiada gospodarkę, która rywalizuje z naszą.

Tradycja wysokich amerykańskich cel wwozowych uniemożliwia nam nawet w najdalszej przyszłości uważanie tego kraju za odpowiedni rynek zbytu dla naszych towarów.

Wierzmy, że przyszłość handlu W. Brytanii mieści się w ramach Commonwealthu, imperium i rolniczo-socjalistycznych krajów Europy Wschodniej, gdyż gospodarka tych obszarów jest w dużej mierze uzupełnieniem naszej. Być może, będziemy obecnie zmuszeni do wielu ofiar z powodu braku dolarów, lecz pomyślniej i niezależnej przyszłości nie można budować na podstawie dolarowej“.

TRZEBA SKUPIĆ WSZYSTKIE SIŁY

DAILY HERALD omawiając oświadczenie min. Crippsa o położeniu ekonomicznym oraz sprawozdanie rządu na temat polityki plac, pisze: „Naród nasz musi odzyskać ducha żelaznej stanowczości i zdobyć się na najwyższy wysiłek, którym ocali już raz siebie i wolność innych narodów w najbardziej ponurych chwilach wojny. Dzięki temu jedynie można będzie przezwyciężyć trudności, omawiane wczoraj przez Stafforda Crippsa“.

Dziennik dodaje: „Cripps oświad-

BIULETYN W JĘZYKU POLSKIM nadaje radio brytyjskie codziennie o godzinie:

6.30—6.45 na fal 1796, 456, 49.59, 41.21 m.

14.30—14.45 na fal 1796, 456, 31.17, 41.21, 25.15 m.

19.30—20.00 na fal 456, 49.54, 31.17 m.

22.30—23.00 na fal 456, 49.59, 40.98.

Numer o stałej k. Elżbiety z dodatkiem Ilustrowanym (nr 18), oraz nr 49, wysyłamy po nadstaniu nateżeń w znaczkach pocztowych, lub przekazać, pod adresem Redakcji. Cena nr 18 — 25.— zł, nr 49 — 15.— zł

„Latające skrzydło“

A. W. 52 bezogonowy płatowiec o napędzie odrzutowym — znany pod nazwą „Latające skrzydło“ — jest pierwszym próbnym samolotem, który budowany będzie dla brytyjskiego Ministerstwa Dostaw, według nowego systemu badań, stosowanego od czasu wojny.

Dotychczas nowe typy samolotów były po prostu konsekwentnym rozwinięciem typów wcześniejszych. Badania nad nimi mogły być prowadzone w tunelach aerodynamicznych. Obecnie jednak, gdy wprowadzono nowe metody, takie badania okazały się nie wystarczające. Ministerstwo dąży do tego, aby rozwinąć konstrukcję samolotów, przeznaczonych specjalnie dla celów doświadczalnych.

Samolot „latające skrzydło“ (Flying Wing) został zaprojektowany i skonstruowany przez zakłady Armstrong Whitworth. Chodziło o to, aby zdobyć dane o aparatach nie posiadających ogona, a wyposażonych w skrzydła o układzie strzały — używając w konsekwencji przepływu laminarnego w warstwie granicznej dla zredukowania oporu powietrza (idzie tu między innymi o niezmiernie wygładzoną powierzchnię aparatu) — oraz metody odsysania turbulentnej warstwy powietrza z powierzchni skrzydeł dla zapewnienia sterowności przy minimalnej szybkości (lotki i stery w „AW52“ są umieszczone na skrzydłach samolotu, gdyby więc nie odciągano powietrza od skrzy-

deł, przeszkadzałoby ono w sterowaniu).

Upiął rok od czasu, gdy pierwszy eksperymentalny A. W. 52 został wypuszczony z zakładów lotniczych w Whitley koło Coventry. Konstrukcja tego aparatu, wyposażonego w dwa silniki odrzutowe typu Rolls-Royce-Nene jest wynikiem wielomiesięcznej pracy doświadczalnej z mniejszym takim samolotem — A. W. 52 Glider. Na skutek niezwyklego wyglądu — eksperymentalny samolot pocztowy A. W. 52, który oprócz kabiny pilota na dziobie, jest właściwie cały skrzydłami — uważany jest zwykłe za mniejszy, niż to istotnie ma miejsce. Naprawdę rozpiętość jego skrzydeł wynosi 27 m, a waga aż 14,832,5 kg. Wśród specjalnych cech charakterystycznych tej maszyny należy podkreślić: jej kształt bezogonowy, napęd odrzutowy z ukrytych w skrzydłach silników, urządzenie umożliwiające lot na dużych wysokościach, „automatycznego pilota“, urządzenie ciepłe przeciw oblodzeniu, oraz urządzenie odsysające warstwę graniczną. (Warstwa powietrza pracą na skrzydła przy locie).

Kiedy po skonstruowaniu samolotu odkryto nieprzewidziany błąd w urządzeniach sterowych, spowodowana tym zwłoka była wielkim zawodem dla tych wszystkich, którzy interesują się lotnictwem, a szczególnie dla Johna Lloyda (głównego konstruktora) i jego współpracow-

ników. Specjalna forma konstrukcji skrzydeł, których profil wykonany jest z dokładnością do 0,0127 m nie pozwalała na szybką przebudowę przewodów sterowych. Jednakże praca ta została ukończona we wrześniu 1947 i gotowy aparat przetransportowano w częściach do Instytutu Doświadczalnego RAF'u w Boscombe Downs. Tu zmontowano go i po szeregu prób na ziemi oraz po zwłoce, spowodowanej oczekiwaniem na odpowiednią pogodę — odbył się 13 listopada pierwszy lot próbny.

Pilot doświadczalny z zakładów Armstrong Whitworth — E. G. Franklin oblatywał maszynę i był tak zadowolony z jej urządzeń sterowych, że pozostał w powietrzu grubo dłużej, niż podczas innych prób lotu. Po lądowaniu wyraził swoje zadowolenie z maszyny. 16. grudnia ub. roku samolot zademonstrowano szerokiej publiczności w Bitteswell koło Rugby. Mimo że

niezgrabne na ziemi, w powietrzu „latające skrzydło“ posiada wdzięk i zreczność mewy. W rękach Erica Franklina wyglądało wspaniale podczas lotu, któremu przyglądali się: p. J. Freeman, wiceminister dostaw, sir Ben Lockspeiser, szef zespołu naukowców ministerstwa i kilku przedstawicieli rządu.

Kąt strzały skrzydeł samolotu A. W. 52 wynosi 35°. Lotki, jak też i stery, które w normalnym samolocie znajdują się na ogonie — w latającym skrzydle umieszczone są razem wzdłuż krawędzi spływu skrzydeł.

Rolę usterzenia wysokości i lotek spełniają tu te same elementy, umieszczone właśnie, jak już wyżej wspominaliśmy, wzdłuż krawędzi spływu skrzydeł, działając raz jako usterzenie wysokości, raz zaś jako lotki.

Kabina pilota — to t. zw. kabina wysokościowa (przystosowana do lotów na dużych wysokościach), zaopatrzona w wyrzucalny fotel pilota, dzięki któremu, w razie wypadku, może się on nawet przy największej szybkości wydostać z kabiny. („Flight“)

List z Londynu

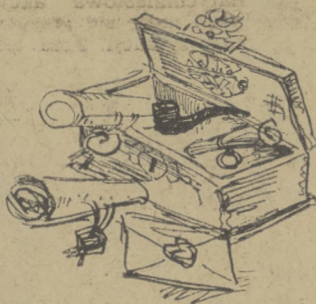
LONDYN W KWIATACH

LONDYN przywita swych wiosennych gości powodzią kwiatów. W parkach stolicy W. Brytanii urządzona zostanie największa po wojnie „rewia kwiatowa“. Ogrody królewskie zajaśnieją tęczą radosnych barw. Przeszło 100 ogrodników pracuje już nad urządzeniem klombów i grządek i nad przygotowaniem kwiatników. Podczas zimy cebulki kwietne hodowano w cieplarniach, aby wystawa wiosenna wypadła jak najwspanialej. Zastępy ogrodników, niezależnie od tych, którzy pracują nad wystawą wiosenną, zajmują się przygotowaniem kwiatów na sezon letni i jesienny. Gdy minie czas tulipanów, zostaną one zastąpione przez ostróżki, lwie pyszczki, begonie i dalie. Ogród róż w Hydeparku — będzie istnym katalogiem tych najpiękniejszych kwiatów — tradycyjnych kwiatów brytyjskich. W następnym miesiącu zabłyśnie w Hyde Parku 150 tys. czerwonych, żółtych, ponsowych i różowych tulipanów. 98 tys. tych pięknych kwiatów ozdobi St. James Park — a dalszych 40 tys. wykwitnie przed pałacem buckinghamskim.

SPRAWOZDAWCA KRÓLEWSKI

NIEDAWNE mianowanie Ernesta Popplewella wicekanclerzem domu królewskiego przywraca stary zwyczaj brytyjski. Obowiązkiem bowiem wice-kanclerza — w tym wypadku p. Popplewella — jest informowanie króla Jerzego VI o przebiegu każdego posiedzenia Izby Gmin. Popplewell powinien po każdej debacie wysłać królowi krótki raport przez specjalnego posłańca lub telegraficznie. Zwyczaj ten datuje się od panowania Jerzego III.

Powstał on z powodu prawa wg. którego władca jest jedyną na całym świecie osobą, której nie wolno słuchać obrad Izby Gmin. Ostatnim władcą, który przekroczył próg tej Izby, był Karol I, a jego wejście



tam spowodowało cały łańcuch wydarzeń, a w końcu kosztowało go głowę. W bibliotece pałacu buckinghamskiego przechowuje się raporty wicekanclerzy królewskich od 159 lat. Styl tych raportów jest tak różny, jak ich autorzy różnili się między sobą. Disraeli był dowcipny, złośliwy i ostrożny. Jego sprawozdania wskazują, że posiadał on szczególny, właściwy dziennikarzom „nos do nowin“.

Raporty po nocnych debatach Izby pisze się zwykle we wczesnych godzinach rannych. Pewnego razu królowa Wiktoria otwierając swą skrzynkę sprawozdań, znalazła w niej nie tylko raport, ale także fajkę i tytoń. — Pozostawił je tu lord Randolph Churchill, ojciec Winstona Churchilla.

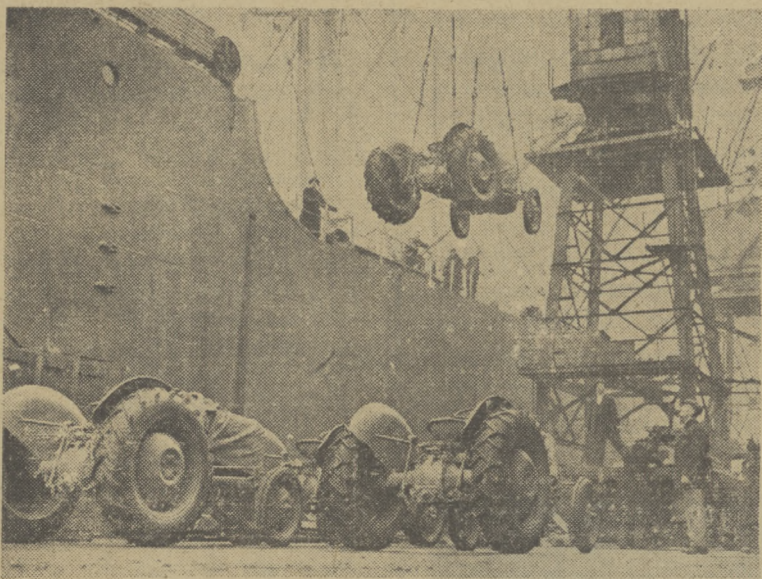
NIE TYLKO MĘŻCZYŹNI SĄ ŚLEPI NA KOLORY

ODKAD nauka orzekła, że mężczyźni mają większe skłonności do daltonizmu (ślepoty na niektóre kolory) niż kobiety — pięć piękna miała zawsze ostatnie słowo w sprawach barw. Lecz obecnie R. W. Pickford z wydziału psychologii uniwersytetu w Glasgow dał nieoczywistą możliwość brania udziału w dyskusjach pań o najmodniejszych kolorach sezonu.

Stwierdził on bowiem na drodze doświadczeń i badań, że więcej kobiet niż mężczyzn cierpi na minimalny daltonizm. Tak więc kobiety przestały być alfa i omega w sprawach kolorowych. Większość wypadków daltonizmu (jeżeli chodzi o rozpoznanie czerwieni i zieleni) ma pewien związek z płcią i z dziedzicznością. I nota bene ślepotę na kolory dziedziczy się po kądzieli. To znaczy, że jeżeli jesteś daltonistą, podziękuj za to swojej mamie.

Jonathan Traiford.

Traktory angielskie dla U.S.A.



Niedawno załadowano na pokład „American Farmer“ pierwszy transport brytyjskich traktorów produkcji Fergusona. Wynosił on 200 sztuk maszyn. Jest to pierwszy transport traktorów brytyjskich zamówionych przez USA za sumę 20 mil. dolarów i stanowi część największego zamówienia otrzymanego dotychczas przez przemysł angielski. W bieżącym roku spodziewane jest całkowite wykonanie zamówienia. Na zdjęciu: Ładowanie traktorów na American Farmer“.

Pocieszające fakty

Zadowolenie, jakie wywołał postępowanie przemysłu brytyjskiego w ostatnich miesiącach, zmalało wobec szeregu oficjalnych oświadczeń na temat problemów krajowego handlu zamorskiego oraz naglącej konieczności zrównania bilansu płatniczego.

Minister dostaw państwowych, p. Strauss przedstawił obecnie sytuację w jasniejszych kolorach. W mowie, wygłoszonej w ubiegłą środę (w czasie obiadu wydanego na cześć p. Henry Ford), wymienił szereg danych statystycznych, które oprócz jasnego naświetlenia stanu odbudowy w chwili obecnej zawierają również pocieszające dane co do programu na przyszłość.

P. Strauss zaczął swą mowę od podkreślenia zwiększenia brytyjskiej siły roboczej w okresie powojennym oraz zmniejszenia się ilości załogów między pracodawcami i pracującymi. „Liczba ludności zatrudnionej w przemyśle w 1939 r. wynosiła 17,92 miliona. Dzisiaj dosięga ona 19 milionów. Na każde 12 dni roboczych, stracone

nych na załogi przemysłowe podczas 2 lat następujących po I wojnie światowej, tylko jeden dzień został w ten sposób stracony w ciągu 2 lat po ostatniej wojnie“.

W dalszym ciągu przytaczał przykłady z różnych innych przemysłów. W 1938 r. produkowano 24.500 mil. kilowatogodzin prądu elektrycznego. Cyfra ubiegłego roku wynosiła 42.500 milionów. Produkcja przedsięwzięta w 1938 r. wyrażała się wartością 135 milionów funtów. W 1947 r. zaś cyfra ta wzrosła do 195 milionów funtów.

W zeszłym roku nasze fabryki przeobraziły 50% więcej wełny i aluminium, niż w 1945 r. a nasza produkcja stali była wyższa o 7,6%.

Jeśli wykonamy nasz plan na ten rok, zwiększenie produkcji dosięgnie niemal 20%, — Olo kilka dalszych szczytowych punktów w naszych osiągnięciach przemysłowych, wybranych na chyblił traf.

W jednej fabryce w Birmingham produkujemy więcej muter i śrub pierwszej jakości na godzinę, niż w jakiegokolwiek innej fabryce na świecie. Jesteśmy obecnie największymi w świecie eksporterami rowerów — sprzedajemy ich za granicę niemal trzy razy tyle, co w roku 1938.

W produkcji motocykli, samochodów małego typu, małych silników Diesla oraz samolotów odrzutowych — przodujemy na świecie.

Nasza produkcja samochodów osobowych i wozów towarowych była w zeszłym roku niemal identyczna z rokiem 1938. Nasza produkcja traktorów rolnych wzrosła niemal 4-krotnie.

Nasz naród podjął dzieło odbudowy z energią i sprawnością — oświadczył minister. — Dzięki zdolności do improwizacji przetrzymaliśmy on trudności, nigdy przed tym nie spotykane w swojej historii. Jego wydatność w każdej gałęzi przemysłu i rolnictwa zrobiła dotychczas ogromne postępy a wiele produkowanych dóbr znacznie przewyższyło ilościowo wydajność lat przedwojennych.

Sprawa zdobytych dokumentów niemieckich

Ministerstwo Spraw Zagranicznych donosi: Znaczenie ostatniego komunikatu wydanego przez radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych da się obecnie przedstawić we właściwym świetle, z komunikatu radzieckiego wynika, że rząd brytyjski uchylił się od przyjęcia próby radzieckiej, wysuniętej w lecie 1945 r., by fachowcy radzieccy wzięli udział we wspólnym przestudiowaniu dokumentów niemieckich, ujętych przez wojska anglo-amerykańskie.

Fakty przedstawiają się następująco: ambasador radziecki opierając się jedynie na komunikatach prasy londyńskiej, która donosiła, że kilka ciężarówek z papierami niemieckimi Ministerstwa Spraw Zagranicznych przybyło do Londynu, przedłożył w brytyjskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych pisemne żądanie, aby fachowcom radzieckim pozwolić natychmiast na przestudiowanie tych dokumentów. W tym celu rząd radziecki zamierzał w przeciągu kilku dni wysłać ekspertów do Londynu.

Dochodzenie wykazało, że komunikaty prasowe nie opierały się na żadnych miarodajnych źródłach. Owcześnie stały podsekretarz stanu — Cadogan zawiadomił o tym ambasadora radzieckiego pismem z dnia 11 lipca dodając, że wszystkie oryginalne dokumenty niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych ujęte przez wojska anglo-amerykańskie znajdują się nadal w Niemczech.

Cadogan donosił w dalszym ciągu, że sądzi, iż Rosjanie znaleźli podobne archiwa niemieckie.

Ułatwienia w przestudiowaniu pa-

pierów będą bez wątpienia zależały od wymagań wojskowej administracji i od postępu, jaki uczyniono w pracy nad ich sortowaniem.

Jedynym materiałem, jaki przybył do Zjednoczonego Królestwa — zauważył Cadogan — były pewne mikrofilmowe fotografie niemieckich dokumentów, które znajdowały się właśnie w trakcie badania i sortowania. Na zakończenie Cadogan oświadczył: „Ze względu na to, że jak dotąd praca nasza nie posunęła się zbyt daleko naprzód, nie sądziliśmy, by do nas należała inicjatywa zaproszenia dyskusji między mocarstwami sprzymierzonymi na temat wymiany dokumentów znajdujących się w ich posiadaniu.

Tak więc przedwczesnym wydaje się wysyłanie ekspertów przez rząd radziecki do Londynu w celu wykorzystania wszelkich wzajemnych porozumień, które w tej sprawie powzięte zostaną w odpowiednim czasie“.

Ze strony rosyjskiej nie tylko nie było żadnego komentarza na temat brytyjskiej propozycji „wzajemnych porozumień“ ale nic więcej już nie mówiono (aż do chwili, kiedy w ostatni poniedziałek radzieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wydało komunikat), o kwestii przestudiowania i opublikowania niemieckich dokumentów ujętych przez wojska mocarstw zachodnich; i to pomimo faktu, że w odpowiedzi na interpelację w Izbie Gmin z 22 stycznia 1947 r. zapowiedziano wstępne kroki celem wspólnego przestudiowania i opublikowania tych dokumentów.

STAWKI PŁAC W CYFRACH

Tabela do artykułu „Od Redakcji“

Grupa przemysłu	Cyfra poszczególnych osób, które skorzystały ze wyższej stawki tygodniowej		Przypuszczalna wyższa tyg. stawki płacy, dotyczącej wszystkich objętych nią robotników wyrażona w funtach	
	1946	1947	1946	1947
Rolnictwo	850 000	860 000	394.900	380.700
Górnictwo i kamieniołomy	69.700	428.000	29.400	237.400
Cegielnie, ceramika, fabryki szkła, chemikalia itd.	347.300	163.000	130.200	45.800
Metalurgia, fabryki maszyn i stocznie okrętowe	2.289 000	269 000	648.000	51.200
Przemysł tekstylny	582 700	74.000	129.900	20.600
Przemysł odzieżowy	511.900	217.500	180 500	54.400
Żywność, napoje i tytoń	328 000	211.000	104.700	77.600
Obróbka drzewa, meble itp.	195 300	91.500	77 300	19 300
Papier, drukarnie itp.	228.800	48.000	143.400	12.800
Budownictwo, zakłady mechaniczne itp.	869.200	923.000	486.700	371.500
Gaz, woda i dostawa prądu elektrycznego	185 900	152 000	52.200	29 000
Transport	372 200	468 000	140 900	164.800
Administracja publiczna	343 300	327 000	147 500	80.800
Inne przemysły i służby	806 700	710.000	235 700	180 600
Suma	7.980.000	4.942.000	2.901.300	1.726.500

L. F. EASTERBROOK

Resory samochodowe przedłużają życie lemieszów

Po jednym z najsuchszych lat, jakie pamiętano w Anglii — w 1947 roku — ziemia była wyschnięta na kamień w okresie jesiennej orki. Lemiesze łamały się na niej w tak rekordowych ilościach, że trudno było nastarczyć nowych dla zaspokojenia nie- spotykanego dotąd zapotrzebowania. Równocześnie rolnictwo borykało się wówczas z trudnościami w związku z przestawieniem gospodarki krajowej z wojennej na pokojową, toteż brak lemieszów owej jesieni byłby i tak istniał niezależnie od innych okoliczności. Było jednak rzeczą konieczną, by praca postępowała naprzód, gdyż W. Brytania przeznaczyła 100 milionów funtów szterlingów rocznie na kampanię zwiększenia produkcji żywnościowej, a pług jest tu oczywiście niezbędnym narzędziem.

Właśnie wtedy wystąpił na widownię pewien kowal, niejaki p. Balls z Linstead Parva w hrabstwie Suffolk. P. Balls znalazł sposób na odnawianie startych ostrzy lemieszów i potrafił wyreperować z górą 2000 lemieszów po cenie 4,25 szylinga za sztukę, przy czym ponowne okucie kosztuje już tylko 2,25 szylinga. Biuro Przemysłu Wiejskiego, które ma na celu niestnienie pomocy kowalom i innym rzemieślnikom wiejskim na terenie całej W. Brytanii, zbadało metodę p. Ballsa i rozesłało 3000 broszur z jej opisem innym kowalom zatrudnionym przy naprawie maszyn rolniczych.

Lemiesze, nadające się do takiego ponownego okucia, są to lemiesze zwykłego typu, wykonane z hartowanego żeliwa i kosztują od 2 do 5 szylingów. Zwykle nie nadają się do procesów spawania i odrzuca się je po zużyciu.

Członkowie personelu technicznego Biura Przemysłu Wiejskiego przeprowadzali doświadczenia z różnymi odmianami twardych metali, oraz wykonali próby orki na różnych rodzajach gleby. Próby wykazują, że po zastosowaniu nowego okucia żeliwnego, możliwe jest uzyskanie 2 do 3-krotnego przedłużenia normalnej trwałości lemieszów za cenę mniej więcej 2 razy wyższą od ceny bez okucia.



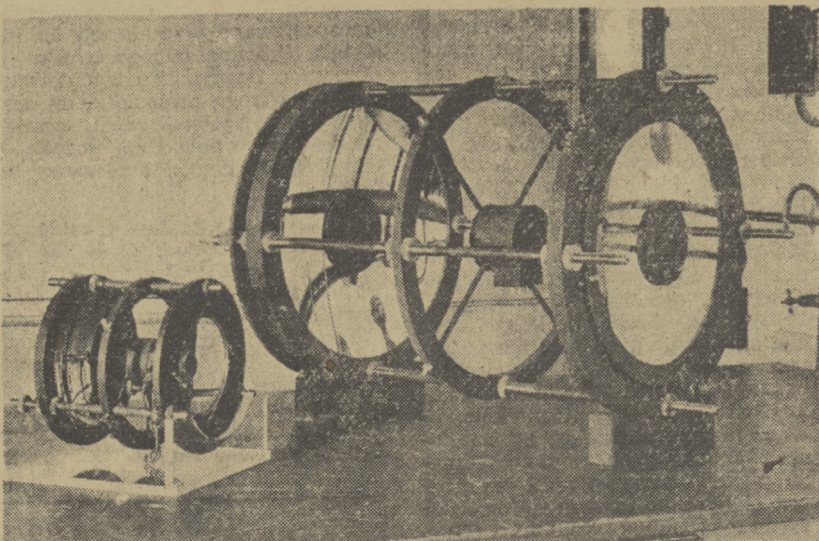
Spawanie kawałków zużytych resorów samochodowych ze startymi ostrzami lemieszów jest jednym ze sposobów stosowanych przez Wiejską Radę w Suffolk dla zapobieżenia dotkliwym brakom lemieszów. Zdjęcie dokonane w warsztacie p. Ballsa, kowala z Linstead Parva, przedstawia kucie lemieszów metodą wynalezioną przez właściciela.

Oczywiście odnawianie zużytych lemieszów tą metodą nie jest ekonomiczne. Jednakże pomysł p. Ballsa polega na tym, że spawano z lemieszem kawałki stali ze starych resorów samochodowych. Przyczyna on dwie sztabki stali, mniejszą i większą i spawa mniejszą z górnym brzegiem lemieszów, a większą z dolnym, tak, że obie schodzą się, przy czym większa lekko wystaje. To przyprawienie nowego ostrza z lanej stali daje najlepsze rezultaty, zarówno pod względem zużycia, jak i z ekonomicznego punktu widzenia. Przeciężny spawacz może wykonać tę pracę bez trudności. Doświadczenia przeprowadzone w W. Brytanii na wyjątkowo twardej glebie wykazały, że można uzyskać 3- lub 4-krotne przedłużenie trwałości lemieszów za cenę niewiele odbiegającą od kosztu przeciętnego lemieszów z hartowanego żeliwa. Metoda ta została również z powodzeniem zastosowana przy orce pod buraki cukrowe.

P. A. W. Williams, kierownik techniczny Biura Przemysłu Wiejskiego oblicza, że w W. Brytanii jest jakieś 3000 kowali, którzy wykonują tego rodzaju roboty. Jeden z kowali odnowił ponad 1200 lemieszów w ciągu miesiąca, a otrzymuje więcej zamówień, niż jest w stanie przyjąć. Rolnik, który posiada zużyte lemiesze, ma możliwość za 4,25 szylinga uzyskać 3 lub 4-krotne przedłużenie jego trwałości przez nałożenie nowego okucia, a następnie za 2,25 szylinga uzyskuje dalsze 3 lub 4-krotne przedłużenie życia lemieszów przez ponowne okucie. Proces ten można czasem nawet powtarzać, o ile brzegi lemieszów nie są zbyt zdarte. Każdy złamany resor samochodu, posiadający ponad 7 cm długości może tu być użyty.

Dr D. STARKIE

Telewizja w kinie i kino w świetle dziennym



Tak wyglądają największy i najmniejszy projektor telewizyjny (fot. Photo Studio Briggs).

APARAT projekcyjny, lornetka, mikroskop, aparat fotograficzny — oto kilka z popularnie używanych instrumentów, które opierają się na mniej lub więcej skomplikowanym systemie soczewek. Soczewkę znamy wszyscy jako kawałek okrągłego szkła o powierzchni wypukłej lub wklęsłej, czy też dwuwypukłej. Rodzaj kształtu takich popularnie używanych soczewek jest dość ograniczony, ponieważ metodą maszynową da się toczyć tylko soczewki o powierzchni płaskiej, lub sferycznej. Asferyczne soczewki wykonać można jedynie ręcznie, a jest to proces bardzo żmudny i kosztowny.

Metoda szlifowania mechanicznego soczewek szklanych polega na obrabianiu kawałka szkła przy pomocy wirującego gładzika metalowego. Przyrząd ten zbudowany jest w ten sposób, że posiada kształt, jaki chce się nadać powierzchni soczewki. Tymczasem, gdyby optyk chciał wykonać soczewkę o innej powierzchni, niż sferyczna, powiedzmy o powierzchni parabolicznej, to musiałby się posługiwać instrumentem o kształcie parabolicznym. Jednakże wirowy ruch instrumentu i szkła spowodowałyby wygładzenie zmian powierzchni szkła, tak że w końcu uzyskałoby ono kształt sferyczny. A jak się dowiemy za chwilę, właśnie asferyczne soczewki mają bardzo ważne znaczenie i szerokie zastosowanie w różnych dziedzinach życia.

SOCZEWKI Z PLASTYKU

Obecnie po długich latach badań opracowano doskonałą metodę wyrobu przezroczystych soczewek z plastiku. Są one bardzo dokładne i można je produkować w dużych ilościach, odlewając je w formach.

Taki system produkcji jest tani, a soczewki uzyskane tą drogą nie ulegają deformacji — używane nawet w najoardziej nie-

sprzyjających warunkach klimatycznych — np. w krajach tropikalnych.

Soczewkom z plastyku można nadawać dowolny kształt powierzchni. Producent może obecnie używać ich stale do wysokiej jakości instrumentów optycznych.

I jeszcze jedno: wielkie soczewki z plastyku są niewiele droższe od małych. A duże soczewki szklane są drogie wsku-

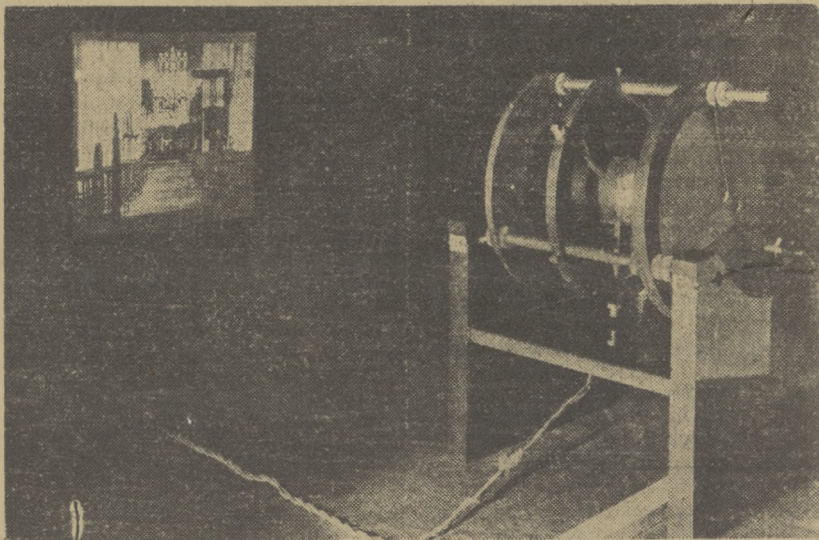
kość obrazu w rurce katodowej, a zwykły system sferycznych soczewek ze swą ograniczoną powierzchnią zbierającą światło z rurki katodowej — daje na ekranie bardzo niewielką i niejasną projekcję.

Dla ulepszenia telewizji przyjęto system optyczny, stosowany w astronomii. W aparacie znajduje się wielkie zwierciadło wklęsłe i bardzo skomplikowana soczewka asferyczna, które zbierają większą ilość światła z rurki katodowej i rzucają na ekran obraz jasny i wyraźny. Tego rodzaju odbiorniki telewizyjne, zawierające soczewki asferyczne z plastyku ukażą się wkrótce na rynku.

Przy użyciu wielkich urządzeń optycznych o podobnym typie, wyprodukowanych nową metodą, uzyskano już w czasie eksperymentów obraz telewizyjny wielkości pełnego ekranu kinowego. Wróży to, że w najbliższych latach telewizja wkroczy do kina na równi z filmem.

KINO W ŚWIETLE DZIENNYM

Soczewki asferyczne będą także używać robotnicy w różnych gałęziach przemysłu. Może ona być dokładną lupą w fabrykach



Nowoczesny projektor telewizyjny. Obraz rzucony na ekran przez ten aparat jest ostry i wyraźny (fot. Photo Studio Briggs).

tek trudnych metod obróbki i szlifowania. To daje wielką przewagę soczewkom z plastyku.

TELEWIZJA W KINACH

Powiedzieliśmy poprzednio o szerokim zastosowaniu właśnie soczewek asferycznych. Gdzie konkretnie można ich używać?

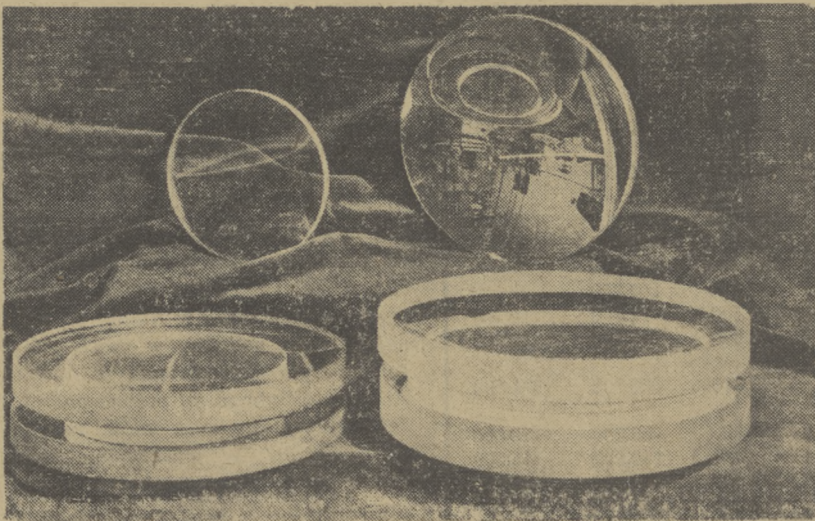
Po pierwsze w telewizji. Aby na obraz telewizyjny mogła patrzeć większa grupa osób, konieczne jest dość duże powiększenie tego obrazu. Obraz telewizyjny odbiera mała rurka katodowa a z niej przekazuje się go za pomocą soczewek powiększających na ekran. Niestety możliwości są ograniczone, jeżeli chodzi o szero-

miniatury przedmiotów, takich, jak części do zegarków, części radiowe, włókna do lamp elektrycznych. Można je używać w przemyśle tekstylnym do powiększeń bardzo drobnych wzorów tkackich itd. Przy tym robotnicy będą pracowali nie jednym okiem, jak to ma miejsce przy użyciu szklanych lup, lecz parą oczu, bez obawy wyczerpania wzroku.

Na polu oświaty: epidiaskop, lub projektor kinowy wyposażony w system asferycznych soczewek służyć będzie do ilustrowania wykładów przez obrazy w szkołach. Soczewki asferyczne dadzą na ekranie tak ostry obraz, że można go będzie oglądać przy świetle dziennym, w niezaciemnionej klasie. Lampa potrzebna do takiego epidiaskopu może być tak małowatowa, że wystarczy jej po prostu prąd ze zwykłej baterii samochodowej.

Projektuje się także zastosowanie nowego systemu asferycznych soczewek w sygnalizacji kolejowej, w 16 mm aparatach projekcyjnych a także w przyrządach służących do odczytywania mikrofilmów. Wszystkie wymienione powyżej instrumenty i aparaty wymagają systemu bardzo silnych soczewek. A soczewki takie można osiągnąć tylko przez nadanie im powierzchni asferycznych.

Przed soczewkami z plastyku stoi wielka przyszłość.



Soczewki asferyczne z plastyku (fot. Photo Studio Briggs).

W. J. ROSE, profesor polonistyki w Instytucie Studiów Sławistycznych i Wschodnio-Europejskich Uniwersytetu Londyńskiego

SLAWISTYKA NA UNIWERSYTECIE BRYTYJSKIM

Od zakończenia wojny 1914—1918 roku, kiedy Warszawa stała się stolicą wolnej i zjednoczonej Polski, Praga — stolicą zjednoczonej i niepodległej Czechosłowacji, a Belgrad — stolicą Zjednoczonego Królestwa Jugosławii, zainteresowanie narodami środkowej Europy stało się wzrastało w Europie zachodniej.

Do tego czasu niewielu ludzi wiedziało nawet o ich istnieniu jako odrębnych narodów, o wiekowych tradycjach i wiekowej literaturze, chociaż prawdą jest, że wybitni przywódcy polityczni, jak Dmowski i Zaleski ze strony Polaków, Masaryk i Benes ze strony Czechów, oraz Trumbić i inni ze strony Jugosłowian zawierali przyjaźnie i kładli fundamenty pod nowe, kulturalne i polityczne stosunki jeszcze przed rokiem 1918.

Teraz na tych podwalinach zaczęło wyrastać trwale zainteresowanie. Pierwszym, widocznym wynikiem tego w W. Brytanii było powołanie do życia w Kolegium Królewskim przy uniwersytecie londyńskim, wydziału studiów sławistycznych. Pod koniec lat dwudziestych wydział ten został przekształcony w odrębny uniwersytet — Instytut Studiów Sławistycznych i Wschodnio-europejskich.

Trzeba przyznać, że na długo przed tym, zarówno w Oksfordzie jak i w Cambridge zwrócono szczególną uwagę na historię centralnej Europy, a nawet na problemy lingwistyczne. Traktowano jednak te zagadnienia tylko jako dodatek do innych studiów, a nie jako przedmiot sam w sobie. Obecnie historia, język i literatura tych narodów zaczyna przyciągać należną im uwagę. Ustanowiono w Londynie katedry dla studiów z dziedziny lingwistyki i literatury polskiej, czeskiej i serbo-chorwackiej na poziomie uniwersyteckim. Od 1925 do 1935 r. lektorami polonistyki byli wybitni naukowcy z uniwersytetu warszawskiego — dr. Wacław Borowy, a następnie dr. Julian Krzyżanowski.

W 1935 r. stanowisko lektora zostało podniesione do godności profesora nadzwyczajnego, którym został autor niniejszego artykułu. W trzy lata później został mianowany profesorem zwyczajnym. W r. 1940 studenci, którzy zdali końcowe egzaminy, otrzymali stopnie naukowe z języka, literatury i historii wszystkich tych trzech krajów. Kursy te dawały możność wyboru, tak że student mógł poświęcić się wyłącznie literaturze i filologii lub też historii i sprawom ustrojowym. Doświadczenie wykazało, że wybór pierwszych przedmiotów był bardzo popularny; dopiero od czasu II wojny światowej więcej studentów zaczęło poświęcać się studiom historii ustrojów.

Do roku 1939 liczba studentów była jeszcze stosunkowo mała. Od 1945 r. wzrosła pięciokrotnie. Znacząca się obecnie wzrastająca fala zainteresowań wszystkich narodami słowiańskimi i chociaż „większość studentów interesuje się Rosją, spora liczba poświęca się studiom o Polsce, Czechosłowacji i Jugosławii. Wywołało to zapotrzebowanie na personel wykładowczy a pomieszczenia tego Instytutu, znajdujące się w nowym, imponującym budynku w pobliżu British Museum są już niewystarczające dla obecnych potrzeb.

Stały wzrost rozmiarów Instytutu wymaga corocznie dużych wkładów pieniężnych. W okresie przedwojennym coroczne zasilki dla Instytutu były udzielane przez rząd polski, czechosłowacki, jugosłowiański, węgierski i rumuński, a nawet i dzisiaj z tych samych źródeł napływają pewne sumy. Główne wydatki muszą być jednak pokryte z funduszy przewidzianych przez rząd brytyjski, za pośrednictwem komitetu zasilków uniwersyteckich. Jest to bardzo pomyślny objaw, że konieczność kontynuowania tych zasilków jest dobrze rozumiana przez czynniki oficjalne. W sprawozdaniu komisji Scarbrough dla studiów nowoczesnych, zatwierdzonej przez rząd, powiedziane jest, że na uniwersytetach brytyjskich należy poświęcić znacznie więcej uwagi kulturze i osiągnięciom mniejszych narodów Europy, niż to robiono w przeszłości. Nie tylko więc trzeba nadal utrzymywać istniejące katedry, lecz należy stworzyć nowe. Z obecnych najważniejszych jest katedra historii środkowej Europy imienia Masaryka, którą obecnie zajmuje profesor R. R. Betts.

Studenci mogą teraz uzyskać nie tylko absolutorium z wybranej dziedziny (język, literatura, historia, ekonomia, geografia, historia u-



Gmach uniwersytetu londyńskiego.

stroju), lecz również zdobyć wyższe stopnie — magistra lub doktora filozofii. Kursy są tak zorganizowane, że studenci filologii muszą nie tylko gruntownie opanować jeden z języków, lecz również osiągnąć pewną biegłość w jeszcze co najmniej drugim, dla celów porównawczych. Co więcej, stopnie naukowe mogą uzyskać zarówno studenci regularni, jak i studenci „eksterniści”, którzy mieszkają z dala od uniwersytetu.

Dla uzyskania absolutorium zwykły okres studiów trwa 3 lata, podczas gdy uzyskanie stopnia naukowego wymaga 4 lat. Co więcej, zarówno w literaturze, jak i w historii i studiach o ustrojach student musi się specjalizować w obranej dziedzinie jednego narodu, lecz równocześnie przestudiować odpowiadający przedmiot drugiego narodu.

Jeszcze jedno ułatwienie zostało przewidziane przez uniwersytet londyński. Mężczyźni i kobiety, którzy nawet nie mają matury, co im uniemożliwia wstęp na uniwersytet, mogą starać się, jako wolni słuchacze, o tak zwany dyplom uniwer-

sytecki w obranym przedmiocie. Aby go zdobyć trzeba dwóch lat pełnych studiów, po osiągnięciu pewnej znajomości języka. Ustanowiono dość trudny egzamin piśmienny z tłumaczeń, kompozycji, zagadnień historii politycznej i geografii, oraz z wiadomości o wybitnych dziełach poezji i prozy.

Należy zwrócić uwagę na jedną cechę wyższych studiów akademickich, które prowadzą do zdobycia stopnia magisterskiego i doktorskiego. Są one otwarte nie tylko dla studentów, którzy pracowali w Instytucie Studiów Sławistycznych, jako zwyczajni słuchacze, lecz również dla mężczyzn i kobiet przybyłych z innych uniwersytetów, z europejskimi i amerykańskimi uczelniami włącznie. W chwili obecnej znajdują się w Instytucie kandydaci do obu wyższych stopni naukowych, którzy poprzednio studiowali w Pradze, lub w innych europejskich uczelniach zarówno jak studenci ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i Północy Afryki. Mają oni już za sobą pewne prace badawcze — niektórzy z zakresu filologii, litera-

tury, inni — historii i spraw ustrojowych. Aby osiągnąć stopień magistra, wymagany jest przynajmniej jeden rok studiów po pierwszych egzaminach, a poza tym przed napisaniem pracy kandydat musi złożyć egzaminy. Dla zdobycia stopnia doktora filozofii (który wymaga 2 lub nawet 3 lat dalszych studiów) konieczne jest tylko napisanie rozprawy na dany temat, opracowanej pod nadzorem uznanego autorytetu.

Biblioteki Zjednoczonego Królestwa nie są bogate w materiały źródłowe z dziedziny historii i kultury krajów środkowej Europy, w porównaniu, powiedzmy z bibliotekami Paryża. Z drugiej strony, w bibliotece British Museum i w Bodlejańskiej bibliotece w Oksfordzie znajdują się wspaniałe, w dużej części niewykorzystane źródła dotyczące dawniejszych okresów historii, tj. aż do 1914 r. Poza tym w Taylor Institution w Oksfordzie i w bibliotece uniwersyteckiej w Cambridge znajdują się dużo pożytecznych książek, niezależnie od biblioteki Instytutu Studiów Sławistycz-

nych w Londynie. Tutaj kolekcja książek polskich jest większa niż czeskich czy jugosłowiańskich, lecz żadna z nich nie jest niczym więcej, jak tylko pożyteczną biblioteką podręczną dla studentów z zakresu literatury i historii. Pochodzi to stąd, że przed rokiem 1939 zbyt mało funduszy przeznaczano na zakup książek, a wszyscy wiedzą, jak wielkie spustoszenia wśród książek spowodowało zniszczenie przez Niemców tytułu skarbowi kultury.

Należy dodać, że stopnie naukowe z polonistyki można otrzymać nie tylko w Londynie, lecz również w Cambridge i Liverpool, i że pewne ułatwienia zostały przewidziane dla wykładowców o Polsce również w Oksfordzie i Glasgow. Niezależnie od tego czeski i serbo-chorwacki są wykładane w Cambridge, a przynajmniej początki w Oksford i Glasgow. We wszystkich tych uniwersytetach i w niektórych innych, studia o Rosji były główną podstawą studiów sławistycznych. Jednakże tylko w Londynie jak dotąd, istnieje większy i wykwalifikowany personel wykładowczy obejmujący całość zagadnień słowiańskich. Jak się wydaje, władze oświatowe pragną w stolicy skoncentrować większość studiów o Europie środkowej.

Należy dorzucić parę słów dotyczących idealnego składu personelu wykładowczego. Większość spośród nas zgadza się z tym, że z dwóch powodów stanowiska czołowe, powinny być piastowane przez wykwalifikowanych naukowców brytyjskiego pochodzenia: po pierwsze — ponieważ zatrudnienie cudzoziemskich wykładowców mogłoby zniechęcić studentów do wyboru tego mało znanego przedmiotu i — po drugie — ponieważ ludzie, którzy sami przeszli przez twardą szkołę opanowania języka, literatury i historii innych narodów, mają wszelkie dane, aby być najlepszymi wykładowcami. Sami ponieśli trudy, których obecnie wymagają od swoich studentów. Jest jednak rzeczą bardzo ważną, zwłaszcza na drugim i trzecim roku wykładow, aby przynajmniej dla jednego członka personelu wykładowczego językiem ojczystym był polski, czeski lub rosyjski, czy też serbo-chorwacki. Instytut Studiów Sławistycznych stara się przeto, aby co roku sprowadzać do siebie tylko dla naukowców z różnych krajów dla uzupełnienia swego personelu. Mogą oni pracować badawczo jako członkowie zespołu profesorskiego względnie wykładać w pewnych zakresach, lub spełniać funkcje doradcze.

LAUREACI NAUKOWEJ NAGRODY NOBLA

Nagrodę Nobla za nadzwyczajne osiągnięcia badawcze w dziedzinie fizyki i chemii przyznano w 1947 roku dwóm Anglikom — Sir Edwardowi Appletonowi i Sir Robertowi Robinsonowi. Praca Appletona nad wyjaśnieniem sposobu przenoszenia się fal radiowych, doprowadziła do wielkiej precyzji oraz przyczyniła się do rozwoju radaru.

Robinsonowi, jednemu z największych żyjących uczonych w zakresie chemii organicznej, zawdzięczać można ważne postępy w dziedzinie syntezy chemicznej. Postawił on sobie takie zadanie: w jaki sposób substancje o skomplikowanej budowie istniejące w naturze — mogą być konstruowane z prostych molekuł w laboratorium? Praca Robinsona przyniosła szereg ulepszeń w medycynie oraz fizjologii i postęp w teoretycznych studiach chemicznych. W Anglii Appleton pła-

tuje stanowisko przewodniczącego organizacji rządowej, która zajmuje się stosowaniem zdobyczy wiedzy do potrzeb narodowych. Robinson znowu jako prezes Towarzystwa Królewskiego (Royal Society) jest czołowym przedstawicielem akademickiej wiedzy w W. Brytanii.

WARSTWA APPLETONA

Historia odkryć Appletona zaczęła się podczas wojny 1914—1918 roku, kiedy to jako oficer łączności zeznał się ze zjawiskiem zanikania sygnałów radiowych. Postanowił wtedy znaleźć wytłumaczenie tego zjawiska. Podówczas bowiem naukowcy w większości uważali, że fale radiowe oddziałują z ziemią po stycznej i giną w przestrzeni. Matematycy urzeczywili nawet, że przesyłanie przez Merconego sygnałów z Anglii do Nowej Fundlandii było zupełnie niemożliwe.

Tymczasem Heaviside w Anglii i niezależnie od niego Kennelly w USA postawili tezę, że w wyższych stratach atmosfery musiał istnieć jakaś warstwa odbijająca, która skierowała fale radiowe z powrotem na ziemię. Żaden z nich jednak nie potrafił tego udowodnić. W 1924 roku Appleton i jego współpracownicy nie tylko, że udowodnili istnienie takiej warstwy tzw. „warstwy Heaviside'a”, lecz nawet ustalili, że jej odległość od powierzchni ziemi wynosi 96,5 km. Appleton jednak poszedł w swych dociekaniach jeszcze dalej — i wykazał, że jeszcze krótsze fale od użytych poprzednio przenikają przez „warstwę Heaviside'a” i odbijają się od jeszcze wyżej położonej warstwy, wracając na ziemię. Tę drugą warstwę nazwano „warstwą Appletona”. Rozciąga się ona na wysokości od 241—450 km nad ziemią. Na odbijaniu się od niej polega dziś cała „długodystansowa” praca radiowa. Ale dokonawszy tego odkrycia uczony nie spoczął na laurach. Dalsze jego badania wykazały np., że siła odbijająca warstwy jonizacyjnej zmienia się ciągle w zależności od nasilenia promieniowania słonecznego, i że same promienie słoneczne są potężnymi emitarami fal krótkich. Te odkrycia doprowadziły do tzw. przewidywania warunków jonosferycznych, nad którym współpracuje obecnie 40 stacji na całym świecie. Informacje takie mają ogromne znaczenie dla radiofonii pozwalając one na stwierdzenie, jakiej długości fale są najbardziej odpowiednie dla daleko-dystansowej komunikacji radiowej w każdej określonej porze.

KOLORY KWIATÓW W LABORATORIUM

Robinson, poza krótkim okresem, w którym był kierownikiem naukowym pewnego przedsiębiorstwa farbiarskiego, miał zawsze rację skłonności do tzw. „czystej wiedzy”. Był profesorem w Sydney w Australii i w kilku innych brytyjskich uniwersytetach, zanim otrzymał katedrę w Oksfordzie. Stanowisko to piastuje po dziś dzień.

Klasyczną już dziś jego pracą było odkrycie prostego sposobu syntezy tropinonu, substancji, którą można rozkładać i budować z dwóch alka-

loidów roślinnych: stropiny i kokainy, mających tak wielkie zainteresowanie w medycynie. Zanim jednak uczony przystąpił do tej pracy, zbudoval teorię wyjaśniającą, w jaki sposób roślinna sama wytwarza te substancje, i to właśnie naprowadziło go na odkrycie syntezy laboratoryjnej. W 10 lat później udowodniono, że przebieg reakcji opracowany w teorii Robinsona jest zupełnie taki sam jak w żywej roślinie. Zajmując się alkaloidami roślinnymi — Robinson badał także morfiny i ustalił wzór chemiczny strychniny i brucyny.

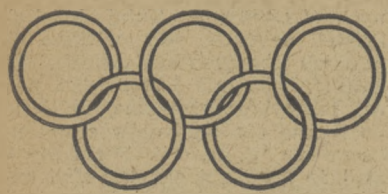
W kilka lat potem przystąpił uczony do badania kolorów kwiatów: czerwonego, fioletowego i niebieskiego. Substancje nadające kwiatom barwy, zwane są „anthocjanami”. Pomieszanie albo z kwasem albo z zasadą — dają one kolejno: w pierwszym wypadku czerwień, a w drugim — niebieski lub fiolet. Wyjaśnił to częściowo, dlaczego niebieskie blawatki np. i czerwone róże są barwione przez te same „anthocjany” (różnice kolorów tłumaczy się bowiem obecnością kwasów, względnie zasad). Robinson i jego żona, która zajmuje się również chemią organiczną, zasyntetyzowały wszystkie „anthocjany”, a pigmenty otrzymane laboratoryjnie okazały się identyczne z naturalnymi. Pracę tę uważa się za jedną z najświetniejszych w całej nowoczesnej chemii organicznej. Pozwała ona na badanie „anthocjanów” w naturze i jest również bardzo cenna w studiach nad dziedziczeniem kolorów przez kwiaty.

Ostatnio Robinson pracuje nad syntezą hormonów zwanych „oestrogenami”. Jeden z tych hormonów „stilboestrol” oprócz innych zastosowań, może być użyty do leczenia męskich gruczołów rozrodczych.

Podczas ostatniej wojny — Robinson — który z wielkim nakładem sił pełnił obowiązki naukowego doradcy rządu — przyczynił się również do etapu prac nad badaniem składu penicyliny. Był on poza tym prezesem komisji, mającej koordynować wszystkie prace nad jej syntezą. W dziedzinie tej osiągnięto już pewne sukcesy, na razie jedynie w bardzo ograniczonym zakresie.



Uczni laureaci Nobla w roku 1947 podczas uroczystości wręczenia nagród. Siedzą od lewej Brytyjczycy — Sir E. V. Appleton, który otrzymał nagrodę za odkrycia na polu fizyki i Sir Robert Robinson — laureat Nobla za prace w dziedzinie chemii; małżonkowie Cori z USA — nagrodzeni za osiągnięcia na polu fizjologii i medycyny i inni. Trzeci od prawej to król szwedzki Gustaw.



Z obiektywem W ST. MORITZ



Bieg zjazdowy panów. Na zdjęciu — zawodnik brytyjski Peter Bounpherey.



Narciarki, które reprezentowały Anglię na ostatnich igrzyskach: Xanth Ryder, Sheana MacIntosh i Bunty Gounhand.



Otwarcie V Olimpiady Zimowej w St. Moritz. Defilada zawodników.



Wyścig skeletonowy. Anglia zajęła 3 miejsce, zdobywając brązowy medal dzięki zwycięstwom Crammonda (na zdjęciu).



Narciarze brytyjscy w St. Moritz: (od lewej) N. G. Moor, Peter Waddell, Stuart Parkinson, Ian Appleyard i Harry Taylor.



Angielska para: Dennis i Winnie Silverthorne z Londynu wykonują trudną ewolucję na lodowisku Kułm w St. Moritz.



Ross uczestniczył w olimpijskiej jeździe szybkiej na łyżwach.



Jill Lindsay jedna z najlepszych łyżwiarek brytyjskich.



Jazda szybka na dystansie 500 m. Pierwszy od lewej Anglik — B. Peppin, drugi Hauer (Norwegia).



Brytyjska ekipa łyżwiarska na igrzyskach olimpijskich. Szósta od lewej Jeanette Altwegg — mistrzyni Anglii — zdobyła brązowy medal olimpijski za jazdę łyżwiarską.



Mecz Kanada—Anglia zakończył się zwycięstwem Kanadyjczyków w stosunku 3:0. Niebezpieczna sytuacja pod bramką brytyjską.

LIONEL BIRCH

„Dr Angelus”

James Bridie jest znanym dramatopisarzem i to nie tylko w swej rodzinnej Szkocji — toteż fakt, że sztuka jego „Dr Angelus” nie miała w Londynie powodzenia, nie może być przypisywany brakowi popularności autora. Szkoda, że widownia świeciła pustkami na przedstawieniach — dramat ten bowiem jest

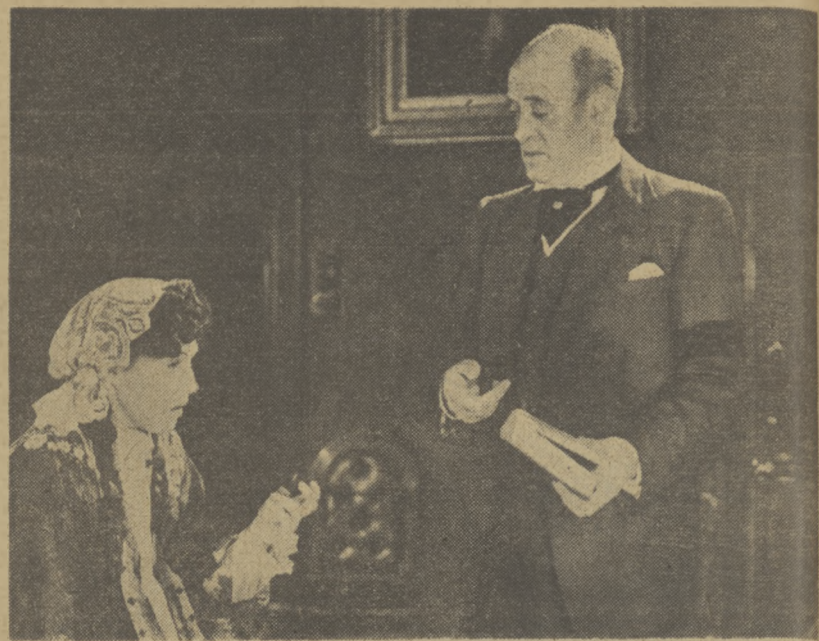
wszakże wspaniałomyślnie mu przebacza, nie dając Johnsonowi w ogóle przyjść do słowa. Dr Angelus prosi Johnsona, by podpisał świadectwo zgonu pani Taylor.

Johnson w tej chwili przypomina sobie, że wezwany na konsylium dr Burt, wychodząc wyraził wobec niego pewne wątpliwości co do

bejrzeć zwłoki. Dr Angelus czuje się bardzo niemile dotknięty tym brakiem delikatności i zaufania, a otumaniony do reszty asystent pragnąc nadal wierzyć i służyć przełożonemu (zwłaszcza wobec tego, że ma ten nieszczęsny flirt na sumieniu) zamyka oczy na wszystko i podpisuje podsunięty mu formularz. Tak więc błędny młodzieniec wkacza na drogę, wiodącą do zguby. Sytuacja ta potraktowana jest przez autora z makabrycznym humorem.

Pani Taylor nie żyje — wolno ostatecznie przypuścić, że zmarła naturalną śmiercią. W drugim akcie wszakże widzimy, jak doktorowa Angelus, błada, w neglizżu, wertuje książki lekarskie męża. Sądząc z jej wyglądu, zdaje się, że i ona wkrótce podąży w ślad za nieboszczką matką. Umacnia nas w tym podejrzeniu następna scena, kiedy podchmieleńca służąca, Janie, zaczyna z doktorową ordynarną kłótnię i daje jej do zrozumienia, że to ona, służąca, jest de facto panią tego domu. Zjawia się dr Angelus, przebacza żonie jakieś wcale niepopelnione przez nią winy, wyrwa jej z rąk książkę z wykazem trucizn i każe jej przed spaniem zażyć lekarstwo — bez względu na to, czy jej się podoba czy też nie. Wiadomo, że żona, wbrew własnej woli, lekarstwo to zażyje.

Tymczasem ślepe zaufanie Johnsona zaczyna się chwiać, nie tylko z powodu dochodzących z różnych stron pogłosek i ostrzeżeń, ale i dlatego, że spostrzega niektóre sprzeczności w diagnozach Angelusa, a w laboratorium znajduje ślady pewnej trucizny. Sumienny, choć niezbyt przenikliwy Johnson zapytuje swego mistrza, czy nie ma cienia możliwości, by zaszła jakaś mała pomyłka w diagnozie choroby pani Taylor. Dr Angelus znowu jest głęboko zraniony i zalewa swego asy-



Z „Dr Angelusa” Bridiego: żona doktora podejrzewa, że mąż chce ją otruci podobnie jak jej matkę. Zabiera się więc do studiowania toksykologii. Na to wchodzi mąż: co znaczy ta książka? — pyta. W roli dra Angelusa Alastair Ait, jego żonę gra June Ait.

stenta potokiem wymowy, przy czym częstuje go znaczną ilością alkoholu. Młody doktor ma bardzo słabą głowę, toteż pytania jego po chwili przestają być dla Angelusa groźne. Johnson zapada wkrótce w głęboki sen, w którym prześladuje go zmora; wydaje mu się, że stoi przed sądem, oskarżony o współudział „post factum” w morderstwie. Następna niema scena znowu bawi swym nieco upiornym dowcipem: Johnson budzi się, widzi, że na dworze jest jasno, mimo że story jeszcze są spuszczone i z przerażeniem przypomina sobie, że nie ma chwili do stracenia, jeżeli życie pani Angelus ma być ocalone. Pędzi więc do łazienki, by otrzeźwić się zimną wodą. W czasie jego nieobecności do pokoju wchodzi, popląkując służącą i zasłania z powrotem okna — zdziwienie i przerażenie Johnsona wywołuje w widowni salwy śmiechu.

Na zakończenie dr Angelus zostaje jednak przyłapany — ale co użył, to użył. Młody Johnson dostał nauczkę na całe życie, nie ma wszakże obawy, by doprowadziła go ona do samobójstwa. P. Bridie sam jest lekarzem, skorzystał więc ze sposobności, by przypiąć łatkę temu szanownemu zawodowi; robi to najzupełniej bez troski, a widownia świetnie się na przedstawieniu bawi. W razie gdyby ktoś wątpli w prawdopodobieństwo tej całej historii (czego nie należy się wcale obawiać) niech się zapozna z aktami rozprawy sądowej, która odbyła się niedawno w Londynie: szanowany ogólnie lekarz został zasądzony za otrucie całego szeregu żon i to pod nosem swych kolegów po fachu. Wobec powyższego, dr Angelus wydaje się zaledwie początkującym amatorem.



W londyńskim teatrze „Phoenix” grana była sztuka Bridiego pt. „Dr Angelus”. Na zdjęciu: po otruciu swej teściowej dr Angelus prosi młodego lekarza Johnsona, aby napisał świadectwo zgonu. Dr Johnson, podejrzewając przestępstwo, odmawia.

nie tylko jedną z najbardziej zajmujących sztuk, jakie pokazano ostatnio w West End, ale niewątpliwie ma z nich wszystkich najwięcej zalet scenicznych. Jest to również wcale dobry „essay o człowieku”, mimo, że Bridie widocznie zupełnie nie dąży do odkrywania owych „ludzkich prawd”, które tak często tracą banałem.

Ton jego sztuki nieco cyniczny, wcale nie jest ponury. Najlepiej streszcza ją filozoficzna uwaga policjanta, wypowiedziana w zakończeniu do młodego lekarza, który zbyt tragicznie przeżywa swe grzechy przepuszczonych okazji: „Zrobił pan, co pan mógł — to wprawdzie nie wiele, ale to i tak jest niezły nekrolog dla niejednego z nas”. Słyszac to, mamy ochotę prosić o szklankę mocnej whisky, czy raczej od razu o dwie szklanki, by zapomnieć o nieszczęsnej przeszłości i albo następny raz zachować się bardziej rozsądnie, albo przynajmniej nie dać się przyłapać na własnej głupocie. Nie jest to może dobry temat do kazania, ale jest zupełnie w porządku, jeśli chodzi o sztukę teatralną, która nie ma pretensji do wartości „ogólnoludzkich” czy „społecznych”. Chodzi tu li tylko o teatr.

Dr Angelus jest lekarzem w Glasgow i mimo że nie budzi specjalnej sympatii, ma wielkie powodzenie jako fachowiec. Chodzi w czerwonym, aksamitnym smokingu i pozuje na świętoszka; pozory te nie ludzą nikogo, prócz jego asystenta, poważnego młodego człowieka, na wargach którego wciąż jeszcze drży złożona niedawno, przysięga lekarska. Akcja całej sztuki rozgrywa się w pokoju ordynacyjnym. Dowiadujemy się na początek, że niejaka pani Taylor, dziwnym trafem ukochna teściowa doktora Angelusa, leży w pokoju na piętrze, cierpiąc na ciężką chorobę żołądka, rozpoznaną i leczoną przez jej zięcia. Nie trzeba czekać na trzeci akt, by się domyślić, że obłudny ten lekarz niepostrzeżenie ale skutecznie truje panią Taylor oraz, że młody dr Johnson został wprowadzony do domu, by nie dopuścić do teściowej mniej wygodnych świadków przebiegu jej choroby.

Tegoż wieczoru stan pani Taylor na tyle się pogarsza, że wezwano drugiego lekarza, Sir Gregory Burt'a. Młody dr Johnson czeka w pokoju ordynacyjnym na wyniki operacji, którą dr Angelus przeprowadza na chorej. Na nieszczęście etyka zawodowa młodego lekarza zostaje narażona na szwank, przez nadejście pięknej pacjentki p. Corcoran, która go uwodzi swym wdziękiem. W krytycznej chwili wchodzi do pokoju dr Angelus z wiadomością, że p. Taylor zakończyła życie. Niestosowne zachowanie młodego asystenta, zwłaszcza w tak poważnych okolicznościach, głęboko zasmuca dr Angelusa, który

przyczyn choroby p. Taylor i nie radził mu podpisywać świadectwa zgonu. Johnson proponuje teraz nieśmiało, że chciałby przynajmniej o-

„WYSTĘPEK”

Emlyn Williams, znakomity aktor walijski, jest również jednym z pół tuzina najlepszych dramaturgów brytyjskich. Jednakże ostatni jego utwór „Trespass” (Występek) nie należy do pół tuzina najlepszych jego sztuk. Trzema najbardziej udanymi są niewątpliwie: „Night must fall” (Noc musi zapadnąć) — emocjonująca sztuka detektywistyczna, którą przerobiono w Hollywood na jeden z inteligentniejszych filmów tej widownia „The Young in Heart” („Młodzi sercem”) — fascynujący i wzruszający dramat o wielkim aktorze, który popada w młodość i „The Corn is Green” (Zielone zboże) — sztuka społeczno-moralna o młodym walijskim górniku, który zdobywa stypendium i staje się intelektualistą. Każdy z tych utworów utrzymany jest w jakimś zdecydowanym typie scenicznym. „Trespass” (Występek) nie da się zaliczyć do żadnej kategorii dramatycznej. Sztukę tę określono jako „Ghost Story” (Historię o duchach). Ale silny wstrząs, którego zwykle oczekujemy od dobrej historii o duchach ginie w nie-

zwykle bujnie powikłanej akcji. — Widownia zastanawia się cały czas nad pytaniami, które autor wydaje się stawiać: czy spirytyzm jest sprawą istotną, czy po prostu błagą?

Akcja koncentruje się wokół pewnej właścicielki starego zamku w Walii, z pochodzenia Francuzki Talady, której postać odtwarza wybitna aktorka filmów francuskich Françoise Rosay, stara się nawiązać łączność ze swym zmarłym mężem, który za życia był wcale dobrym muzykiem. Jej córka tymczasem stara się wczepić w świat uniemożliwić matce nawiązanie kontaktu ze zmarłym wirtuozem, drży bowiem z obawy, że zmarły może nagle przemówić i wyjawiać fakt, że ona, jego, pasierbica, była zarazem jego kochanką. Ale tego kasztelanowa nie wie i jest zdecydowana wywołać ducha swego męża. Postanawia wypróbować nowe medium, którym jest skromny sklepikarz z Cardiff. Człowiek ten (gra go sam autor, Emlyn Williams) powątpiewa, czy w ogóle posiada przypisywany mu dar psychiczny, a w

każdym razie nie ma ochoty przyznawać się do tego. Z pewnością, ostatnią rzeczą, której pragnie, to występować jako medium. Jego życzeniem jest, by zostawiono go wraz z żoną w spokoju i by mógł z korzyścią pracować w swoim sklepie.

Marjorie Rhodes, która występuje w roli kobiety-szarlatana, polującej na media, nie daje mu spokoju. Kupca przewożą do zamku i seanse roz-

poczynają się. Pierwszy seans sprawia wrażenie, że spirytyzm jest zwykłym humbugiem; drugi (na którym skłoniono kupca, pomimo jego woli, do pozostania) zostawia istotnie niesamowite wrażenie. — Opuściliśmy przedstawienie z uczuciem, żeśmy się dobrze zabawili, ale że problem nie został rozwiązany. Sztuka grana jest bardzo dobrze.

Lionel Birch



Seans spirytystyczny w „Występku” Williamsa. W sztuce tej bierze udział słynna aktorka francuska Françoise Rosay, która kreuje rolę Christie (leżącą od lewej).



Scena ze sztuki E. Williamsa pt. „Występek” (Trespass) wystawionej w londyńskim Globe Theatre. Występują: Leon Quartermaine w roli Dewana, Marjorie Rhodes jako pani Amos i Emlyn Williams jako Saviello.

GRAHAM GREENE

MINISTERSTWO STRACHU

7)

— Nie żdziwiłbym się — dorzucił strażnik — gdyby dano jej medal Jerzego... pośmiertnie... Byłby to pierwszy w dzielnicy; co za zaszczyt dla całego posterunku!

— Oczywiście Henry — tłumaczyła dalej pani Wilcox — ona nie jest już tylko twoją żoną. Teraz należy do Anglii.

Henry podszedł niepewnie ku drzwiom. Strażnik wciąż jeszcze piastował niezdarnie srebrny puchar, nie wiedząc, gdzie go postawić. — Wszystko jedno gdzie, — rzekł Henry do niego. — Gdziekolwiek. — Wyszli wszyscy do przedpokoju, pozostawiając Rowe'a. Już od drzwi usłyszał głos pani Wilcox.

— Zapomniałeś swego helmu. Henry.

Henry był zawsze człowiekiem bardzo dokładnym. Teraz stracił całą swoją systematyczność. Wszystkie rzeczy, dzięki którym był sobą, opuścili go: miało się wrażenie, że jego charakter składał się z dwurzędowej marynarki, z długich kolumn cyfr i z żony, grającej w hokeja. Bez tych rzeczy był niczym, nie odnajdywał siebie.

— Idź — powiedział do matki — idź już.

— Ależ Henry...

— To zrozumiałe, psze-pani — wtrącił się strażnik. — To z powodu wzruszenia. Na posterunku zawsze uważaliśmy pana Wilcoxa za bardzo wrażliwego gentlemana. Oni rozumieją — dodał grzecznie, mając prawdopodobnie na myśli posterunek, orkiestrę policyjną, pomocniczych strażników i nawet czterech sanitariuszy. Przynaglił panią Wilcox ku drzwiom przyjazną, wielką dłonią, potem sam wziął mundur. Rowe'owi wydało się, że poprzez anonimowość kombinzonu przebijają błyski przeszłości — spokojnej przeszłości służącego, a może woźnego, przebiegającego z parasolem w dłoni zadeszczone ulice miasta. Wojna przypominała do złudzenia zły sen, w którym znane postacie ukazują się w dziwacznych i groźnych przebraniach. Nawet Henry...

Rowe uczynił niezdecydowany ruch, jakby chciał iść za tamtymi: nie mógł pozbyc się nadziei, że to przypomni Henry'emu o czeku.

— Zobaczmy tylko, jak odchodzą — rzekł Henry — i wrócimy tutaj. Rozumiesz, że nie mógłbym znieść przyglądania się... prawda?

Wyszli razem na drogę, okrzężając park. Kondukt ruszył już. Sunął, jak mała ciemna strużka w kierunku rzeki. Stalowy hełm na trumnie nie błyszczał w zimowym słońcu, a oddział ratowniczy nie trzymał kroku z posterunkiem O.P.L. Wyglądało to na parodię państwowego pogrzebu, ale to był pogrzeb państwowy. Wiatr przerzucał przez drogę brązowe liście z parku, a pijacy wychodzący z baru „Pod Księciem Rockingham“ zdejmowali kapelusze.

— Mówiłem jej, żeby tego nie robiła... — rzekł Henry, i w tym momencie wiatr przywiał aż do nich odgłos kroków. Było to tak, jak gdyby oddali ją ludzowi, do którego nigdy przedtem nie należała.

Henry drgnął nagle. — Wybacz mi staruszkę. — rzekł i ruszył za nią. Nie włożył swego helmu. Jego włosy zaczynały siwieć. Zaczął biec truchtem z obawy, aby ostatecznie nie zostać w tyle. Przytączył się do swej żony i swego posterunku. Artur Rowe pozostał sam. Pogrzebał ręką w kieszeni, żeby sprawdzić, czy ma jeszcze jakie pieniądze. Było tego bardzo niewiele.

ROZDZIAŁ VII.

Paka z książkami

Można przez całe dwa lata rozmyślać nad tym, że najlepszym rozstrzygnięciem trudną będzie popełnić samobójstwo, ale ostateczna decyzja przejścia od teorii do praktyki nie da się powziąć tak od razu. Rowe nie mógł po prostu pójść nad Tamizę i wskoczyć do wody — zresztą zostałaby z niej natychmiast wyciągnięty. Patrząc jednakże na oddalający się kondukt pogrzebowy, nie widział dla siebie innej drogi: wsiadł do samochodu. Kiwała go za morderstwo, a w kieszeni miał tylko 35 szylingów. Nie mógł udać się do banku, nie miał też żadnych przyjaciół, z wyjątkiem Henry'ego. Mógł oczywiście pocze-kać, aż Henry wróci z pogrzebu, ale

wyrachowany egoizm takiego postępu wydał mu się wstępnym. O ileż prościej i mniej obrzydliwie było by samemu umrzeć. Niesłuchem suchy listek osiadł na jego płaszczu — stary przesąd każe wierzyć, że oznacza to zdobycie pieniędzy, ale — nie wiadomo, kiedy zechce się ta wróżba spełnić. Szedł brzegiem Tamizy w stronę mostu Chelsea: była to pora odpływu i liczne mowy stapały delikatnie po nadbrzeżnym mule. Zauważył, że w pustej alei nie widać ani wózków dziecińczych, ani nawet psów — jedyny pies, jakiego spostrzegł, wydał mu się bapaiski, zaniedbany i zastraszone. Balon zaporowy wysunął się powoli spoza drzew parku — olbrzymi jego kadłub pochylał się nad rzadkim, jesiennym listowiem, po czym odwrócił się, brudny i podniszczony i wbił się w górę.

Chodziło nie tylko o to, że nie posiada pieniędzy; nie miał również własnego kąta, jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się schronić przed wzrokiem ludzi, którzy mogliby go rozpoznać. Zateśknął za panią Purvis i przynoszoną przez nią herbatą; przyzwyczaił się mierzyć czas według pory, kiedy pojawia się w jego pokoju; poprzecinane puka-

rem, tylko jeżeli jest nim człowiek dobry.

Artur Rowe był potworem. Jego wczesne dzieciństwo przypadło na lata przed pierwszą wojną światową, a wrażenia z okresu dzieciństwa są zwykle niezatarte. Wycnowano go w przekonaniu, że zadawanie bólu jest czymś złym, ale jako mały chłopiec często chorował, miał liche zęby i cierpiał tortury u drugorzędnego dentystry, niejakiego p. Griggs. Nie mając jeszcze siedmiu lat przekonał się więc o tym, czym jest ból — dlatego nie chciał pozwolić, aby nawet szczerz musiał cierpieć. W dzieciństwie żyjemy w aurze nieśmiertelności: niebo jest równie bliskie i namacalne, jak nadmorskie kąpielisko. Poza niezrozumiałymi szczegółami zewnętrznego świata widzimy kilka prostych zasad: Bóg jest dobry, dorośli znają odpowiedź na każde pytanie; istnieje taka rzecz jak prawda, a sprawiedliwość jest równie dokładna i nieomylna jak zegar. Nasi bohaterowie są prostolinijni: odważni, mówią prawdę, umieją się bić na szablę i ostatecznie nigdy nie bywają pokonani. Oto dlaczego żadna z później przeczytanych książek nie daje nam tego samego zadowolenia, co te, które poznaliśmy w dzieciństwie, te bo-

kiem, któremu zadało się pytanie, czy nasypał trucizny do podanego wieczorem napoju? O wiele łatwiej, jeśli się go kocha i jest się zmęczoną cierpieniem, po prostu napić się tego mleka i zasnąć. Nigdy jednak nie dowie się, czy ten strach nie był dla niej gorszy od bólu, nie będzie wiedział czy nie wołałaby każdego rodzaju życia od śmierci. Wziął kij i zabił szczurą, oszczędzając sobie meki patrzenia. Te same pytania i te same odpowiedzi dręczyły go codziennie od chwili, kiedy wzięła z jego rąk filiżankę, powiedziała: „dziwny smak ma to mleko“ i opadła na poduszkę, próbując się uśmiechnąć. Byłby chętnie pozostał przy niej, aż zaśnie, ale to nie należało do ich zwyczajów, a wypadało unikać każdej niezwykłości: odszedł więc, a ona umarła, całkiem sama. A byłaby na pewno wołała, żeby został przy niej, był przekonany, ale to też było by niezwykle. Przecież za godzinę i tak miał przysnąć i położyć się spać. Konwencjonalny tryb życia więził ich nawet w chwili śmierci. Powstrzymywała go wówczas myśl o pytaniach, jakie zadano by mu na policji: „Czemu pan został w pokoju?“ — możliwe, że i ona współdziałała z nim przeciw policji. Tyle było spraw, które na zawsze zostaną niewyja-

— Już pana kiedyś widziałem — powiedział Rowe.

— Bardzo możliwe.

— Dziś nawet dwa razy.

— Chodźcie no kochaneczki — powiedział stary jegomość.

— W hali licytacyjnej na Chancery Lane.

Dwoje łagodnych oczu spojrzało na Rowe'a.

— Świat jest mały, nieprawdaż?

— Czy pan kupuje książki? — spytał Rowe i pomyślał, że towarzysz jego jest bardzo nędznie odziany.

— Kupuję i sprzedaję — odrzekł człowiek. Był dość sprytny, by odczytać myśli Rowe'a: — ubranie robocze — powiedział — książki są zawsze pełne kurzu.

— Interesuje się pan starymi książkami?

— Zwłaszcza ogrodnictwem. Osiemnasty wiek. Nazywam się Fullove. Mieszkam na Fulham Road, Battersea.

— Czy pan znajduje nabywców?

— Więcej, niżby się panu zdawało. — Podniósł nagle ramiona i rozpedził ptaki, jak gromadkę dzieci, z którymi należy zakończyć zabawę. — Ale wszystko zamiera w tych czasach — powiedział — nie rozumieć, po co ta cała wojna. Czule dotknął nogą walizki. — Mam tu peł-



no książek — powiedział — z domu jakiegoś lorda; wyciągnięte spod gruzów. Niektóre są w smutnym stanie, ale inne... nie mogę się skarżyć, kupiłem je dość korzystnie. Chętnie bym je panu pokazał, ale wróble mogłyby mi je zanieczyścić. Pierwszą dobre kupno od miesięcy. Przed wojną byłbym je sobie zachował i poczekał, aż w lecie przyjadą Amerykanie. Teraz trzeba chwycić każdą okazję sprzedaży. Jeżeli nie dostarczę ich klientowi dziś przed godziną piątą, stracę go — chce je zabrać na wieś przed rozpoczęciem nalotu. Nie mam zegarka sir — czy może mi pan powiedzieć, która godzina?

— Dopiero czwarta.

— Powinienem już iść — powiedział p. Fullove. — Te książki są ciężkie i bardzo jestem zmęczony; miałem pracowity dzień. Pan pozwoli, że na chwilę usiądę. — Usiadł na walizce i wyciągnął z kieszeni pamiętą paczkę papierosów. — Pan zapali? Pan też wygląda dość zmęczony, jeśli wolno zauważyć.

— Ach, nic mi nie jest. — Łagodne, starzejące się i zmęczone oczy wzruszyły Rowe'a. Powiedział: — Czemu nie weźmie pan taksówkę?

— No, proszę pana, w tych czasach każdy musi oszczędzać — jeśli wezmę taksówkę, już pójdzie parę szylingów. Klient potrzebuje książek na wieś — może nie będzie chciał kupić wszystkich.

— O ogrodnictwie terenowym?

— Tak jest. To zapomniana sztuka, sir. Znacznie ciekawsza niż hodowla kwiatów. Dzisiejsi ogrodnicy zajmują się tylko kwiatami — powiedział z pogardą.

— Pan nie lubi kwiatów?

— Et, kwiaty — nic mi nie przeszkadzają. Powinno się mieć kwiaty — powiedział stary księgarz.

— Niestety słabo się znam na ogrodnictwie — rzekł Rowe — z wyjątkiem kwiatów.

— Chodzi o sztuczki, które dawniej wymyślali na ozdobę ogrodów — łagodne oczy spojrzały z chytym entuzjazmem — ustawiali w nich przeróżne maszyny.

— Maszyny?

— Stawiali w ogrodzie posązki, które opryskiwały cię wodą, jak się do nich zbliżyłeś; albo groty — czegoż nie wymyślali na upiększenie groty! W porządnym ogrodzie nie było nigdzie bezpieczny.

— Zdawało mi się, że w ogrodzie powinno się być bezpiecznym.

— Oni tak nie sądzili, proszę pana — powiedział stary i z zapamiętnym dmuchnął wonią suchych zepsutych zębów prosto w stronę Rowe'a. Ro-

wiem obiecywały nam świat całkiem prosty, którego prawidła były nam znane. Późniejsze książki okazują się skomplikowane i niezgodne z przeżywaną rzeczywistością; opisują nasze własne, jakże rozczarowujące przeżycia: zaskoczenie faktem, że ktoś, udekorowany krzyżem Wiktorii znalazł się na ławie oskarżonych, zdziwienie, że o podatku dochodowym można złożyć fałszywe zeznanie; odsłaniają nam pokątne grzechy i obłudnym głosem kogoś, kim pogardzamy, rozprawiają o niewinności i odwadze. Mały Lord umarł, zdradzony i zapomniany. Teraz nie umiemy już rozpoznać „czarnego charakteru“ i obarczamy podejrzaniami bohaterów. Świat staje się mały i ciasny. Oto, co ludzie wszędzie i wciąż powtarzają: popularne wyznawanie wiary streszcza się w dwóch powiedzeniach — „jakże małym jest ten świat“ i „ja sam czuję się w nim obcy“.

Ale Rowe był mordercą, tak jak ktoś inny jest poetą. Posąg bohaterów wciąż jeszcze stały dla niego. Gotów był na wszystko, byle ratować niewinnych, a karać zbrodniarzy. Wbrew wszelkim doświadczeniom życiowym wierzył, że gdzieś istnieje sprawiedliwość, a sprawiedliwość ta potępiła go. Badał dokładnie każdą z swych pobudek i za każdym razem dochodził do samooskarżenia. Oparły o mur nad Tamizą mówił sobie po raz setny, że to właśnie on nie potrafił znieść cierpienia swej żony — nie ona. Raz, to prawda na początku choroby, załamała się, powiedziała że chce umrzeć zaraz, a nie czekać — to była histeria. Później najtrudniej było mu patrzeć właśnie na jej cierpliwość i wytrzymałość. Starał się unikać swojej meki — nie jej, a w końcu ona zjadła albo przynajmniej domyślał się częściowo co to było takiego, co jej bolało. Przestraszyła się i nie śmiała pytać. Czyż można myśleć o dalszym życiu z człowie-

2.

— Nie uda im się zniszczyć „Tamizy“ Whistlera — odezwał się jakiś głos.

— Przepraszam, nie rozumiem?

— Jest bezpieczna w schronie. Sklepienia wytrzymają bomby.

Rowe pomyślał, że gdzieś już widział tę twarz, te rzadkie i smętne szare wąsy, te wypchane kieszenie, z których obcy mężczyzna wyjął teraz kawałek chleba i rzucił go w stronę rzeki. Zanim chleb dotknął mułu, mowy poderwały się; jedna wypredziła towarzyszkę, chwyciła kromkę i pożeglowała ponad galarami, jak niesiony wiatrem skrawek papieru, ku czarnym kominom fabrycznym na Lobs Road...

— Chodźcie no kochaneczki — powiedział stary człowiek, a na jego rękę nagle zaroilo się od wróbli. — Znają wujaszka — powiedział — znają swego wujaszka. — Włożył sobie kawałek chleba między wargi, a wróble podlatywały mu do ust, dziobiąc je lekko, niby całując.

— Podczas wojny — powiedział Rowe, — musiał pan mieć trudności z wykarmieniem tych wszystkich siostrzeńców.

— Tak, doprawdy — odrzekł człowiek i otwierając usta odsłonił straszliwie zniszczone uzębienie. Czarne pińki wyglądały jak resztki pogrzebeliska. Garścią okruszyn posypał swój stary, brązowy kapelusz i nowe stadko wróbli obsiadło mu głowę. — Poneńiam wielkie nadużycie — rzekł — gdyby się minister aprowizacji dowiedział... — Oparł nogę o dużą walizkę, a jeden z wróbli usiadł mu na kolanie — był cały obrośnięty ptaszkami.

we miał ochotę odejść, ale równocześnie z tą chęcią odezwała się w nim litość, został więc.

— Albo te nagrobki — mówił dalej stary — mieli na przykład takie nagrobki.

— Czy także opryskiwały każdego wodą?

— O, nie, wywoływały podniosły nastroj, sir, „memento mori“.

— Czarne myśli w ponurym cieniu? — powiedział Rowe.

— Zależy, jak się kto zapatruje, czy nie? — Ale nie ulegało wątpliwości, że księgarz zapatrywał się na swój temat z pewnego rodzaju lubieżnością. Stał z rękawa pozostawione przez wróble ślady i zapytał: — Pan nie gustuje we Wzniosłości, sir, — albo w Smieszności?

— Zdaje mi się — odrzekł Rowe — że wolę normalną ludzką naturę.

Staruszek zachichotał. — Rozumiem pana. Niech mi pan wierzy, natura ludzka miała w tych grotach różne możliwości — w każdej stała wygodna otomana. Nigdy nie zapominali o wygodnej otomance — i znowu z chytrym uśmiechem tchnął swym przykrym oddechem w stronę towarzysza.

— Czy nie powinien pan się pośpieszyć? — powiedział Rowe — nie chciałbym panu przeszkodzić w załatwieniu sprzedaży. — Natychmiast pożałował swej szorstkości; widząc łagodnie zmechnięte oczy, pomyślał: „biedny stary, miał ciężki dzień — każdy ma za swoje... minio wszystko okazał mi pewną sympatię“. To zawsze go rozbrajało, tak dziwił go każdy objaw przychylności.

— Trzeba się śpieszyć, sir. — Stary wstał i strząsnął niedojedzone przez wróble okruszki. — Bardzo lubię inteligentną pogawędkę — nie często nadarza się do niej teraz sposobność. Każdy się spieszy, między godzinami, które przebywa się w schronie.

— Pan sypia w schronie?

— Prawdę mówiąc — odpowiedział, niby przyznając się do dziwactwa — nie mogę znieść tych bomb. Ale w schronie trudno się porządnie wyspać. — Skurczył się pod ciężarem walizy, wyglądał teraz bardzo staro. — Niektórzy ludzie są tak mało delikatni, chrapią, kłócą się.

— Czemu pan siedzi przez park? Zobczył pan zupełnie z dwojgi.

— Chciałem chwilę odpocząć — wśród drzew i ptaków.

— Niechże mi pan da tę walizę — żaden autobus nie chodzi tą stroną wybrzeża.

— Ależ nie mogę nadużywać pańskiej uprzejmości, sir, doprawdy nie mogę. — Ale opór jego brzmiał nieszczerze, waliza istotnie była bardzo ciężka — księgi o terenowym ogrodnictwie mają swoją wagę. Usprawiedliwiał się: — Nic nie jest tak przykre do dzwigania, jak książki — chyba może cegły.

Wyszli z obrębu parku, Rowe przełożył walizę z jednej ręki do drugiej i powiedział: — Wie pan, późno się robi.

— Wszystkiemu winno moje gadulstwo — rzekł z rozpaczą stary księgarz — zdaje mi się naprawdę, że będę musiał pozwolić sobie na taksówkę.

— Mnie się też tak zdaje.

— Czy mogę pana podwieźć? toby się wtedy opłaciło — czy pan idzie w moją stronę?

— W byle jaką stronę — odparł Rowe.

Wsiedli na rogu ulicy w taksówkę i księgarz rozparł się na siedzeniu z wyrazem błogiej ulgi. mówiąc: — Jeżeli się już decydujemy na wydatek, to przynajmniej używajmy przyjemności — oto moja zasada. — Ale w zamkniętej taksówce Rowe nie bardzo mógł używać przyjemności: woń zepsutych zębów była zbyt silna, toteż nie chcąc okazać obrzydzenia, ciągnął dalej rozmowę.

— A czy pan sam zajmuje się ogrodnictwem?

— No nie zupełnie — stary wciąż wyzierał niespokojnie przez okno, a Rowe'owi przyszło na myśl, że jego zadowolenie z przejażdżki ma jakiś pozór fałszy. Księgarz znów się odezwał: — Proszę pana, czy nie zechciałby mi pan wyświadczyć jeszcze jednej, ostatniej uprzejmości? Schody w hotelu Regal Court — wie pan — dla kogoś w moim wieku, to raczej trudna sprawa. A nikt takiemu jak ja nie pomoże. Pracuję w księgarstwie, ale dla służby, sir, jestem zwykłym domokrządem. Gdyby pan był taki dobry i oddał za mnie tę walizę — niech pan tylko zapyta o pana Traversa, pokój numer szósty — on tam czeka na nią — nie potrzeba nic mówić, tylko ją zostawić. — Spojrzał ukradkiem na Rowe'a, spodziewając się odmowy. Pan jest tak uprzejmy, że najchętniej podwiozę pana potem gdziekolwiek pan zechce.

— Pan przecież nie wie dokąd iść — rzekł Rowe.

— Zaryzykuje, sir. Orzeł lub reszka.

— Mogłbym pana wziąć za słowo i kazać się zawieźć bardzo daleko.

— Niech pan tylko spróbuje, niech pan spróbuje — mówił księgarz z

jakąś wymuszoną wesołością. — Kupi pan ode mnie książkę i jakoś to wyrównamy. — Może skutkiem służalczości jego tonu, albo może tylko z powodu niemiłej woni, Rowe wcale nie miał ochoty oddać mu tej przysługi.

— Czemu nie każe pan zanieść walizy portierowi?

— Nie miałbym pewności, że spełni polecenie natychmiast.

— Mogłby go pan przecież przypilnować.

— To te schody, sir, — taki młotem dziś męczący dzień. — Opadł na śledzenie. Prawdę mówiąc — rzekł — nie powinienem być dzwigać tej walizy — i wykonał ręką ruch w stronę serca — ruch, na który nie było odpowiedzi.

No, pomyślał Rowe, nie zaszkodziłby spełnić jakiś dobry uczynek, zanim odejdę stąd na dobre. Mimo to, wszystko razem jakoś nie bardzo mu się podobało. To prawda, że księgarz wyglądał dostatecznie chory i zmęczony, aby wybaczyć mu każdy podstęp — ale zbyt dobrze mu się to udawało. Nie dość, myślał Rowe, że siedzę w taksówce z obcym człowiekiem, ale jeszcze mam mu obiecać, że zataczę pakę osiemnastowiecznych ksiąg do pokoju jakiegoś innego nieznajomego? Wyobrażenia jego podsunęła mu surrealistyczny obraz jakiejś tajemniczej siły, która opanowuje go, bierze w swoje władanie i kieruje nim bez udziału jego woli.

Śmochód stanął przed hotelem, a siedzący w nim dwaj mężczyźni istotnie wyglądali dość dziwnie. zakurzeni i nieogoleni. Rowe na nic się jeszcze nie zgodził, ale wiedział, że nie ma wyboru: nie miał dość siły woli, by odejść i zostawić starego z tym jego ciężarem. Wysiadł dzwigając walizę, śledzony podejrzliwym spojrzeniem portiera.

— Czy pan ma zanówiony pokój — zapytał nieufnie portier, i po chwili dodał z wahaniem — sir?

— Nie mam zamiaru tu zamieszkać, zostawię tylko tę walizę dla pana Traversa.

— Proszę się poinformować przy kontuarze — powiedział portier i skoczył obsłużyć innego, cardziej obiecującego gościa.

Księgarz miał słuszną: ciężko było iść po szerokiach, niekończących się schodach hotelu, zbudowanych dla schodzących po woli kobiet w pięknych, wieczorowych toaletach. Architekt był widać romantykiem, nie przewidywał, że po schodach będzie szedł ktoś zmęczony oświeconością, dzwigając — jak pomyślał — Rowe, zanim dotarł do kontuaru naliczył pięć minut.

Młody człowiek zabiurkier przyrzekał mu się uważnie i z nim Rowe zdążył się odezwać, powiedział:

— Niestety, nie mamy ani jednego wolnego pokoju.

— Przyniosłem książki dla pana Traversa, pokój Nr. 6.

— Ach tak, pan Travers czekał na pana, obecnie wyszedł, ale kazał pana tam zaprowadzić. — Urzędnik najwidoczniej był niezadowolony z tego zarządzenia.

— Nie będę czekał, tylko zostawię książki.

— Pan Travers kazał powiedzieć, że pan ma zacheć.

— Wcale mnie nie wzrusza, że pan Travers coś tam kazał.

Jegośność za kontuarem ostro zwrócił się do służącego: Boy, proszę zaprowadzić tego człowieka do pokoju nr 6. P. Travers kazał mu swój pokój otworzyć. — Zdaje się, że przez całe życie używał tylko kilku tych samych zwrotev. Rowe zastanowił się ile tych zdań wystarcza mu, by przejść przez życie, ożenić się, stać się ojcem rodziny.

Szedł za boyem przez niekończące się korytarze, oświecone krytymi lampami — jakaś pani w różowych pantoflach nocnych i szlafroku zapisała na ich widok. Korytarz ten przynosił wnetrz olbrzymiego transatlantyka. Rowe spodziewał się, że spotka za chwile spieszącego do którejś z kajut stewarda, ale zamiast tego ukazał mu się mały, grubo żyd w meloniku, który szedł naprzeciw z odepniętymi zdawałoby się stu metrów, a potem znikł nagle w labiryncie ogromnego budynku.

— Czy nie należałoby zaopatrzyć się w jakiś duży kłębek nici? — spytał Rowe, uginając się pod ciężarem walizy, której boy wcale nie kwamił się mu odebrać. Czuli dziwny zawrót głowy jak towarzyszy podobno zwykle chwili śmierci. Ale chłopak w obcisłych, granatowych spodniach i krótkiej kurteczce szedł wciąż naprzód. Rowe pomyślał, że nie łatwiejszego, jak zgubić się tu raz na zawsze: nikt, prócz portiera, nie byłby w stanie dać jakichkolwiek wskazówek, a osobnik ten zapewne rzadko kiedy zapuszcza się w tę dżunglę. Wody miałbym pod dostatkiem w wodociągu, a o zmróku mógłbym się niepostrzeżenie wymknąć i kupić sobie parę puszek konserw. Ogarnął go zapomniany nastroj przygody — patrzył na mijane numery drzwi: 49, 48, 47, w pewnym momencie skrócili sobie

drogę i przeszli koło sześćdziesiątek, by nagle wynurzyć się przy trzydziestkach.

Jakieś drzwi były uchylone, a spoza nich wydobywały się dziwne dźwięki, coś między gwizdem, a wzdychaniem, ale boya widocznie nic nie mogło tu zdziwić; szedł prosto dalej — był dzieckiem tego budynku. Był przyzwyczajony, że najróżniejsi ludzie zajeżdżają tu z bagażem albo i bez niego i znowu odchodzą; niektórzy tu umierają, a zwłoki ich usuwa się dyskretnie przez służbową windę. W oznaczonych porach roku jest urodzaj na sprawy rozwodowe: zainteresowani dają wtedy służbie napiwki, a detektywi przeliczują ich swymi datkami, bo datki te wciąga się na rachunek kosztów śledztwa. Dla służącego hotelowego nic nie jest nigdy niezwykle.

— Odprowadzisz mnie na dół? — zapytał Rowe. — „Na każdym rogu korytarza umieszczono strzałki z napisem: „Do schronu“. Natrafiając na nie co parę kroków, miało się wrażenie, że wciąż chodzi się w koło.

— Pan Travers kazał, żeby pan pa niego zaczekał.

— Ale ja nie stosuję się do rozkazów pana Traversa — odrzekł Rowe.

Budynek hotelowy był całkiem nowoczesny — panowało w nim zupełnie, niesamowite milczenie. Nie używano tu dzwonków, zamiast nich zapalały się i gasły światełka, co wyglądało, jakby ktoś nieustannie nadawał jakieś niecierpiące zwłoki sygnały. Cisza — z chwilą gdy oddalili się już od drzwi, za którymi syczałoby było owe gwizdanie — przypominała spokój osadzonego na mieliźnie statku: zatrzymano silniki i wszyscy nasłuchują słabego, przygnębionego dźwięku pluskającej fali.

— Tu jest numer szósty — powiedział boy.

— Do setnego pewno dobry kawał drogi.

— Trzecie piętro — rzekł służący — ale p. Travers zostawił polecenie...

— Wszystko jedno — powiedział Rowe — zapomnij o tym.

Gdyby nie metalowy numer, trudno byłoby odróżnić drzwi od ścian — pokoje zdawały się zamurowane. Boy wsunął klucz do zamku i pchnął ścianę.

— Zostawię tu walizę... — powiedział Rowe — ale drzwi już się za nim zamknęły. Pan Travers był widocznie ważną osobistością, której rozkazy muszą być wypełnione.

— Rowe stwierdził, że trzeba będzie samemu znaleźć sobie drogę powrotną. Było coś zabawnego w tym bezsensownym zdarzeniu: doszedł do ostatecznej decyzji w swoich sprawach — sprawiedliwość i wszystkie okoliczności domagały się, żeby się zabił (miał tylko rozstrzygnąć, w jaki sposób), a teraz oto mógł znowu cieszyć się dziwaczną egzystencją; żal, gniew, nienawiść — zbyt wiele wzruszeń zbyt długo zakrywało głupi sens życia. Otworzył drzwi saloniku.

— No — powiedział — to już korna wszystkiego.

W pokoju była Anna Hilfe.

— Czy pani także przysłała do pana Traversa? — zapytał, interesuje się pani ogrodnictwem terenowym?

— Przysłałam tu, by się z panem spotkać — odpowiedziała.

Rowe po raz pierwszy miał sposobność przyjrzeć się jej dokładnie. Była drobna i szczupła, wydawała się za młoda, by mieć poza sobą tyle ciężkich przeżyć, a wyjęta z ram, jakie stwarzał lokal biurowy, straciła wygląd fachowej urzędniczki, jakby ta fachowość była tylko grą, w którą się zabawiła przy pomocy pożyczonych od dorosłych osób akcesoriów: biurka, telefonu i czarnej sukienki. ale Rowe wiedział, że życie nie potrafiło jej skruszyć. Potrafiło co najwyżej położyć kilka zmarszczek wokół jej oczu, które patrzyły równie szczerze, jak oczy dziecka.

— Czy pani także lubi zmechanizowane ogrody, pryskające wodą posążki?..

Serce biło mu na jej widok, niby młodemu chłopcu na pierwszym umówionym spotkaniu, na rogu ulicy w pobliżu kina, albo w małym maśteczku na placu przed gospodą, gdzie odbywają się tańce. Miał na sobie stare, granatowe spodnie i ciemno czerwony sweter, gotowa na nocleg w schronie. Pomyślał ze smutkiem, że nigdy jeszcze nie widział tak zgrabnych bieder.

— Nie rozumiem — odrzekła.

— Skąd pani wiedziała, że przysłać tu ładunek ksiąg dla jakiegoś tam pana Traversa? Ja sam, temu dziesięć minut jeszcze nie wiedziałem, że tu będę.

— Nie mam pojęcia, co wymyślił, żeby pana tu zwać — powiedziała — niech pan natychmiast odejdzie. — Wyglądała jak dziecko, któremu miałoby się ochotę żartobliwie dokuwać: w biurze wydała

mu się o dziesięć lat starsza. Powiedziała:

— Bardzo tu dbają o lokatorów, czyż nie? — dają do dyspozycji całe mieszkanie — można sobie poczytać, potem ugotować obiad.

Jasno brązowa kotara dzieliła pokój na dwie części — odsunął ją i odsłonił sypialnię: dwa łóżka, telefon na małym stoliku, półeczka. — A co tu jest obok? — zapytał — otwierając dalsze drzwi. — Proszę spojrzeć, jest nawet kuchnia, kompletnie urządzona — Wrócił do saloniku, mówiąc: — Można by tu zamieszkać i zapomnieć, że się nie jest u siebie w domu. — Nie czuł się już beztrojsko, nastroj poprzedni trwał zaledwie parę chwil.

— Niczego pan nie zauważył? — spytała.

— Co pani ma na myśli?

— Nie jest pan zbyt spostrzegawczy, jak na dziennikarza.

— Pani wiadomo, że byłem dziennikarzem?

— Mój brat wszystkiego się o panu dowiedział.

— Wszystkiego?

— Tak. Pan nic nie zauważył? — powtórzyła.

— Nie.

— Pan Travers zdaje się nie tu nie zostawił, nie namiętą nawet myśla. Proszę zajrzeć do łazienki, mydło jest nadal w swym opakowaniu.

Rowe podszedł do drzwi, prowadzących na korytarz i zamknął je na klucz. mówiąc:

— Bez względu na to, kim on jest, nie będzie mógł teraz tu wejść i przeszkodzić nam w rozmowie. Proszę pani, czy pani zechce mi pomóc wytłumaczyć — jestem rzeczywście dość głupi — po pierwsze, skąd pani wiedziała, że tu będę, a no drugie, dlaczego pani przysłała?

Odpowiedziała z uporem: — Nie powiem panu, skąd wiedziałam. A jeśli chodzi o to, dlaczego przysłałam — proszę już, żeby pan przyszedł odszedł. Miałam słuszną tamtym razem. prawdą? Kiedy do pana telefonowałam...

— Tak, miała pani słusność, ale czemu panią to obchodzi? Mówi pani, że pani wie wszystko o mnie, czy tak?

— Nie ma w panu niegodziwości — odrzekła po prostu.

— Wiedząc wszystko, nie powinna pani troszczyć się o mnie...

— Lubie sorawiedliwość — wyjaśniła, jakby wyznając jakieś dziwactwo.

— Tak — powiedział — to piękna rzecz, jeśli się ją da osiągnąć.

— Ale o ni jej nie uznają.

— Czy pani ma na myśli panią Bellairs — zaoytał — i kanonikę Toplinga... — Wszystko to było zbyt zawile. Zrezygnował nagle z wysiłku przeniknięcia tajemnicy. Usiadł na fotelu — w tej namiętnie własnego domostwa stał tylko jeden fotel i tancerz.

— Kanonik Topling, to znaczy człowiek — powiedziała i uśmiechnęła się niespodziewanie — wszystko, co mówimy, jest naprawdę zanadto nlemaadre.

— Niech pan powie bratu, żeby przestał się mną zajmować — ja się poddam — niech sobie mordują kogo chcą, ja się wycofuję. Wynoszę się.

— Dokąd?

— Wszystko jedno — powiedziała.

— Nigdy mnie nie znajdą — znam jedno takie bezpieczne miejsce... ale nie będą mnie tam szukać. Zdaje się, że boją się tylko tego, bym ja ich nie znalazł. Nigdy zapewne się nie dowiem, o co właściwie chodzi — ten tort i pani Bellairs — niezwykła pani Bellairs!

— To są złe ludzie — powiedziała, jakby to proste zdanie ostatecznie rozstrzygnęło sprawę. — Cieszę się, że pan wyjeżdża — to nie dla pana. — I ku zdziwieniu Rowe'a, dodała:

— Nie chce, żeby pan już więcej cierpiał.

— Czemu? — zapytał — pani wie wszystko o mnie, pani się dowiedziała — użył jej własnego, dzieciniego zwrotu: — że ja także jestem złym człowiekiem.

— Proszę pana — zaczęła znowu — widziałam tylu złych ludzi, tam, skąd przybyłam, a pan nie jest wcale do nich podobny: brak panu pewnych szczególnych cech. Pan zanadto przejmuję się tym, co już się stało i skończyło. Mówią, że sprawiedliwość stoi w Anglii na wysokim poziomie — no, nie powiesili pana... morderstwo z litości, pisały o tym dzienniki.

— Czytała pani wszystkie dzienniki?

— Co do jednego. Widziałam nawet robione wówczas zdjęcie — pan zastąpił sobie twarz gazetą...

— Słuchał jej w niemym zdziwieniu — nikt dotąd nie mówił z nim o tym otwarcie. Bolało go i teraz, ale był to ten rodzaj bólu, jaki się odczuwa, kiedy dotyka rany jodyna; taki ból można znieść.

— Tam, skąd przyjechałam — po-

wiedziała — widziałam dużo zabijania, ale tam nikt nie mordował z litości. Niech pan tyle nie rozmyśla, trzeba korzystać ze sposobności.

— Zdaje się — odpowiedział — że należałoby postanowić, jak się ustosunkujemy do pana Traversa.

— Niech pan odejdzie — nie więcej nie trzeba.

— A co pani zrobi?

— Też sobie pójdę — nie chcę mieć żadnych kłopotów.

— Jeżeli oni są pani wrogami — rzekł Rowe — jeżeli pani przez nich cierpi, zostanie tu i rozmówię się z panem Traversem.

— O nie, to nie moi wrogowie — odrzekła — nie jestem tu w swojej ojczyźnie.

— Kim więc są? — zaoytał — jestem jak we mgłę. Czy to pani rodacy, czy moi?

— Wszędzie są tacy sami — powiedziała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jakby chcąc się przekonać, kim on jest naprawdę. — Wydaje się panu, że pan jest takim złym człowiekiem — powiedziała — ale to tylko dlatego, że pan nie mógł znieść tego cierpienia. Ale o ni umięć znosić cierpienie, cudze cierpienie, bez końca. Oni sobie z tego nic nie robią.

Łódź przysłuchiwać się jej całymi godzinami — szkoda, że będzie musiał się zabić, ale nie było wyboru w tej sprawie. Chyba, że pozostawił to katu. Powiedział:

— Przypuszczam, że jeżeli doczekam się tu pana Traversa, on odda mnie w ręce policji.

— Nie wiem, co oni zechcą uczynić.

— A ten mały staruszek z książkami też w tym jest? Jakże ich jest dużo.

— Jest ich cała masa, codziennie ich więcej.

— Ale czemu wyobrażali sobie, że oddawszy walizę, ja tu zostanę? — Wziął ją za rękę (miała wąski, kościsty przegub dłoni) i powiedział ze smutkiem: — Pani przecież do nich nie należy, prawda?

— Nie — odpowiedziała; nie odsuwając się od niego. Miał wrażenie, że ona nie kłamie — mogła mieć tysiąc innych rad, ale nie tę jedną, najbardziej ze wszystkich rozpozszechnioną.

— Nie posadzałam pani o to — powiedział — ale to znaczy — to znaczy, że chcieli, byśmy oboje się tu znaleźli.

Krzyknęła: — Ach! — takim tonem, jak gdyby ją był uderzył.

— Wiedzieli, że będziemy tracić czas na rozmowę, na wyjaśnienia... Chcą nas tu mieć oboje — ale policja nie poszukuje pani. Pani teraz ze mną stąd wyjdzie — zawołał.

— Dobrze.

— Jeżeli nie jest już za późno — oni wszystko obmyślają co do minuty. — Wyszedł do przedpokoju i bardzo cicho i ostrożnie przekroczył klucz w zamku, uchylił drzwi i pozwolił znowu jej zamknąć. — Idąc tu myślałem właśnie, — powiedział — jak łatwo było by zgubić się w tym hotelu, w tych niekończących się korytarzach.

— Tak?

— Ale nie ma obawy, żebyśmy się zgubili — ktoś tam stoi na końcu przejścia i czeka na nas, jest odwrócony plecami, nie mogłem zobaczyć jego twarzy.

— Rzeczywiście wszystko obmyśli.

Zauważył, że ogarnia go znów wesołość. Myślał poprzednio, że tego dnia umrze, ale nie, będzie żył, ponieważ znowu może komuś być potrzebny. Opuściło go uczucie, że wlecie za sobą starzejące się i pozabawione wartości ciała.

Powiedział: — Nie myślę, żeby udało im się zamordować nas głodem. Nie mogą też wejść tutaj, chyba przez okno.

— Nie — powiedziała panna Hilfe — patrzyłam przez okno, tędy się nie dostaną, dwanaście metrów golego muru.

— Nie pozostaje nam nic innego, tylko usiąść i czekać. Moglibyśmy zaszczwonić do restauracji i kazać sobie przynieść obiad, dużo różnych potraw i dobre wino. Niech Travers płaci. Zaczniemy od wytrawnego sherry...

— Tak, — powiedziała panna Hilfe — jeżeli możemy być pewni, że klucz —

Uśmiechnął się. — Pani doprawdy o wszystkim pamięta — to trening, nabyty na kontynencie. Co pani teraz radzi?

— Zadzwońmy do portiera — znamy go z widzenia — zrobimy awanturę o coś, zażądamy, żeby tu koniecznie przyszedł, a potem z nim razem wyjdziemy.

— Ma pani słusność — powiedziała — oczywiście, tak trzeba zrobić. — Odsunął zasłonę a ona weszła za nim, pytając:

— Co mu pan powie?

— Nie wiem. Cokolwiek przyjdzie mi na myśl.

Podniósł słuchawkę i słuchał. słuchał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

MAJOR H. WILLIAMS

W PAZURACH LWA

W czasie mojej drugiej podróży do brytyjskiej Afryki Wschodniej w 1909 r. udało mi się polować na grubego zwierza z wybitną osobistością, jaką był Fryderyk Courteney Selous, znany i lubiany przez wszystkich myśliwych i przyrodników. Projektowaliśmy wspólnie specjalne polowanie na czarno-grzywego lwa na płaskowyżu Uasin Gishu. Selous pragnął też szczególnie zapolować na oryxa — antylope o pędzlikowatych uszach — której tereny odkryłem rok temu.

Byliśmy dopiero od kilku dni w drodze, gdy przystano nam gońca z oddziału królewskich strzelców afrykańskich, z oznaczeniem przypuszczalnego obszaru, gdzie moglibyśmy napotkać lwa „ludożercę”, który nie dalej jak poprzedniej nocy porwał jednego z ich ludzi. Szczęście najwidoczniej mnie sprzyjało! Selous wybrał dno wąwozu, a ja przeszukiwałem wskazane wzgórze. Przypadkowo natknąłem się na lwa, zostałem zaatakowany przez niego i natychmiast wystrzeliłem, a on padł martwy prawie u moich nóg. Kiedyś go wypatroszyli, okazało się, bez żadnych wątpliwości, że zabiłem „ludożercę”.

Polując w dalszym ciągu, po kilku dniach mozołnego tropienia byłem uradowany, znalazłszy trop oryxa, którego Selous tak poszukiwał. Tutaj znowu szczęście mi sprzyjało. Siedziałem na dużej skałe tuż przy głębokim wąwozie, którego przeciwny stok łagodnie wznosił się w górę, prowadząc na równinę. Obrąłem sobie to stanowisko, by śledzić Selousa, podchodzącego antylope oryxa i niewątpliwie właśnie jego strzał wypłoszył ze wspaniałego lwa. Widziałem go ze swego stanowiska, jak zwinna kroczył przez niskie, cierniste krzaki, idąc w kierunku wąwozu, nad którym siedziałem. Strzeliłem do niego. Stoczył się do wąwozu, który w tym miejscu był gęściej zarośnięty krzakami, niż zdołałem zauważyć. Sądząc, że jest zabity, nierozważnie zbiegłem w dół za nim. Żył jeszcze, bo zanim go dobiłem, rozszarpał mi but i oderwał spodnie w strzępy. Selous, słysząc strzały, przybiegł i dał mi dobrą nauczkę, ale słuszną, na temat obchodzenia się z lwem. Zmierzyliśmy wspólnie bestię. Od czubka nosa do końca ogona lwa miał 3,7 m długości — sądząc, że w tej części Afryki był to lwa rekordowej wielkości.

Następny lwa przyniósł mi pecha, ponieważ omal nie kosztował mnie życia, a poza tym, przez wiele lat potem nie mogłem polować.

Podczas gdy inni byli zajęci przy zakładaniu naszego obozowiska, postanowiono, że ja udam się na zbadanie najbliższej okolicy; jeśli bym znalazł miejsce z odpowiednim podejściem, miałem zabić parę zeber lub antylop. by je rzucić na przynętę dla lwa, któ-

rego mieliśmy upolować następnego dnia. Tak więc wyruszyłem z dwoma moimi strzelcami. Był to cudny kraj; falujące i płytkie doliny, miejscami jak parki, czasami gęsto zarośnięte krzakami, ale na ogół kraj raczej równinny, z pięknymi widokami na zbocza Mount Elgon. Wszędzie pełno było zwierzyny — rzeczywiście był to prawdziwy raj dla myśliwca. Zastrzeliłem zebra, a zaraz potem również i antylope i zostawiłem je w miejscu łatwo dostępnym, by przynęcić lwa na jutrzejsze polowanie. Wracałem teraz z powrotem do obozu. Podchodząc do niewielkiego wzniesienia, zatrzymałem się i pilnie badałem okolicę przed sobą. Niedaleko zauważyłem coś poruszającego się w niskich krzakach i trawie. Śledziłem z ukrycia, co będzie dalej i po kilku minutach zobaczyłem czarno-grzywego lwa, wychodzącego na polanę.

Natychmiast poleciłem strzelcom, by nie opuszczali swego ukrycia. Lew ciągle posuwał się naprzód. Postanowiłem iść w tym samym kierunku, by zmniejszyć odległość, jaka mnie od niego dzieliła. Pozwoliłem się przez niego prowadzić, ale wkrótce zauważyłem, że był niespokojny, czy zły — może jedno i drugie — ponieważ bił ogonem po bokach. Przypuszczalnie moje strzały były tego przyczyną. Stopniowo podchodził coraz bliżej, na tyle prawie, by móc celnie strzelić. Postanowiłem zatrzymać go, wyszedłem zatem z ukrycia i jak mogłem najgłośniejszym uderzyłem się po napiętku lewej ręki w której trzymałem sztucer. Lew natychmiast przystanął i spojrzał na mnie, a gdy tylko zmierzylem się do niego, zawrócił i zaczął wycofywać się. Wypaliłem do niego od razu z obu luf, ponieważ zrozumiałem, że mogę go stracić, gdybym usiłował przybliżyć się jeszcze. Przypuszczam, że pierwszy mój strzał chybił, ale drugim dostał nisko w krzyż. Zarzył straszliwie, przysiadł na zadzie i stoczył się do pobliskiej gęstwiny. Czekając jeszcze sposobnej chwili, ponieważ z powodu zbyt-niego gąszczy nie mogłem podejść bliżej.

Dwaj tragarze podpełzli pod górę i byli już zupełnie blisko. Nie było nic słyhać, nie można było dostrzec żadnego poruszenia, to też osądziłem, że zwierzę napewno nie żyje. Jednakowoż, pamiętając moje niemądre zachowanie kilka dni temu na polowaniu z Selousem, nie chciałem ryzykować. Postanowiłem wyjść na otwartą polankę, którą zauważyłem po lewej ręce. Tamteży może mógłbym dostać się na prawo, gdzie widoczność była lepsza, by dobić zwierzę, o ile jeszcze żyło. Poleciłem tragarzom, by stali i obserwowali gęstwina na wypadek, jeżeli spostrzegą jakikolwiek ruch. Po wyczerpaniu wszelkich środków ostrożności torowałem sobie drogę na otwartą prze-



Wielkie polowanie na lwy. Zdjęcie dokonane przez autora zamieszczonego obok artykułu — Majora Williama, którego wkrótce potem, podczas tego właśnie polowania poszarpał lwa.

strzeń, nie spuszczając gęstwiny z oka. Z chwilą, gdy znalazłem się na polance, gdzie, jak sądziłem, rzekomo nieżywy lwa znajduje się dobrze ukryty po prawej stronie, wyskoczyłem z krzaków i wyprostowałem się. Ku memu zdziwieniu i niemal radości, ujrzałem nagle coś, co wziąłem za nową zdobycz. Tuż z lewej strony wypadł lwa w dzikim ataku, kierując się na mnie. Szarżując wy-dawał równocześnie groźne, wyzywające pomruki. Jedynie ci, co znaleźli się kiedyś w podobnej sytuacji, mogą ocenić, jak przerażająco działają takie pomruki lwa, który atakuje istotę, wydającą mu się pewną zdobyczą.

Trzymałem moje nerwy w garści i wybrałem moment, który uważałem za odpowiedni, by wypalić do niego z obu luf. Pierwsza kula przeszła mu mimo głowy, druga trafiła w łopatkę, ale widocznie nie nadwyrężyła żadnej kości, bo nie przestał biec. Moja sytuacja była teraz rozma-czliwa. Ucieczka byłaby zupełnie bezużyteczna. Tak więc nic innego nie pozostawało mi do zrobienia jak stawić czoło rozjuszone-mu, pędzącemu zwierzęciu — nie miałem też żadnych nadziei, ponieważ obie moje lufy były puste. Stałem bez ruchu, uchwyciwszy sztucer w obie ręce, by zakryć twarz. Teraz nadszedł ostateczny moment. Z wściekłości, płonącymi jak żagwie oczyma i rozwartą paszczą zwierzę przystawiało się do skoku. W tej chwili moje napięcie osłabło i skupiłem wszystkie siły, by walczyć o życie. Chwyciwszy sztucer oburącz, rąbnąłem go między oczy z siłą, której nie podejrzewałem nigdy w sobie. Skutek był taki, że zwierzę przechyliło gło-

wę na bok z rykiem bólu, skuliło się i uchwyciło mnie za prawą nogę. Potoczyłem się pod nie z głową i ramionami unieruchomionymi jego tułowiem. Trzymałem mocno mój sztucer, nie usiłując nawet opierać się — byłem bezsilny.

Wówczas lwa podniósł mnie za nogę i rzucał mną to w jedną, to w drugą stronę, podobnie jak pies tarmoszący szczura. Następnie ciągnął mnie parę kroków przez dosyć gęste krzaki, a znalazłszy otwarte miejsce, zatrzymał się i znów zaczął mnie tarmosić. Nagle rozłożył się jeszcze bardziej, zmienił kierunek, a zawracając, szarpnął tak mocno, że omal nie wyrwał mi nogi ze stawu. Chrupot, jaki dał się przy tym słyszeć, przeraził mnie. Ponownie zaczął mnie taszczyć, a znalazłszy odpowiedni zakątek, zatrzymał się i położył się prawie całym ciężarem na mnie. Pazury przednich łap wpił w moje uda i plecy — uścisk zębów nie rozluźniał się ani na chwilę. Tak najwidoczniej postanowił pozostać. W głowie huczało mi jakby kilka pociągów mijało się równocześnie w tunelu i nie zdawałem sobie sprawy z czasu. Sądziłem, że lada chwila stracę przytomność, bo krew uchodziła ze mnie gwałtownie. Postanowiłem, że kiedy lwa skończy z moją nogą i zabierze się do reszty, spróbuję wtłoczyć mu łufę sztucera do gardła, chociaż miałem grube wątpliwości, czy mi się to w ogóle uda.

Nagle zauważyłem Ramazana, mojego głównego strzelca, kłęczącego zaledwie o kilka metrów przede mną: lwa musiał go także zauważyć. Ramazan strzelił natychmiast prosto w lwa. Lew zeskokczył ze mnie i rozłożył się z głową między łapami, o kilka metrów od nas. Zawołałem do Ramazana o dwa naboje i zanim nabiłem sztucer, zwierzę uczyniło jeszcze ostateczny wysiłek. Wystrzeliłem z obu luf, nie mając nawet czasu, by się do niego zmierzyć, a kopnięcie strzelby było jeszcze dodatkowym bólem. To już był Bogu dzięki koniec! Wskutek stanu, w jakim się znajdowałem, wyda-wało mi się, że wszystko się ru-sza, a szczególnie lwa i wymu-siłem na Ramazana, siedzącym koło mnie z moim drugim sztuce-rem, by wystrzelił do niego jeszcze 5 kul.

Następnego ranka umieszczono mnie na noszach i poniesiono do stacji kolejowej Londain, odległej o 250 km. Podróż ta trwała 4 i pół dnia. Stąd trzeba było jeszcze jechać 19 godzin, zanim dotarłem do Nairobi, gdzie otrzymałem pierwszą pomoc lekarską. W dwie godziny po przyjeździe zostałem operowany i przez dłuższy okres czasu obawiano się o moje życie. Jedynie troskliwość doktora i personelu w rządowym szpitalu zawdzięczam to, że mogłem wrócić do domu. Pobyt w tym szpitalu w samym sercu Afryki zachowam na zawsze w naj-milszym wspomnieniu.



Oto wspaniały okaz wschodnio-afrykańskiego lwa, bardzo łasego na... ludzkie mięso.

Nowiny
WYDAWNICZE

Wiedza i technika

A. S. Mac Nafty: Samorząd (Local Government). Wyd. Methuen. Cena 4 szyl. 6 p. Stron 220.

Zwięzłe opracowanie historii rozwoju i rozmaitych cech skomplikowanej maszyny samorządowej w W. Brytanii.

F. Braistford: Substancje magnetyczne (Magnetic Materials). Wyd. Methuen. Cena 6 szyl. 150 stron.

Książka ta przeznaczona jest dla zaawansowanych studentów oraz dla pracowników naukowych. Służyć też może technologom, pracującym dla zastosowania wiedzy w życiu codziennym. Stanowi ona część całej serii wydawnictw, zatytułowanej: „Monographs of Physical Subjects”.

Rodziewicz i Turner: Rocznik wiedzy kryminalnej (Journal of Criminal Science). Wyd. Macmillan. Cena 10 szyl. 6 p. Stron 224.

Pierwszy tom publikacji wydawanej przez wydział wiedzy kryminalnej fakultetu prawnego na uniwersytecie Cambridge. Zawiera artykuły i sprawozdania słynnych fachowców, omawiając kwestie o pierwszorzędnym znaczeniu.

J. Sinclair Baxter: Podręcznik embriologii (Aids to Embryology). Wyd. Bailliers. Cena 5 szyl. Stron 389. Z ilustracjami. Czwarte wydanie książki, która stanowi część serii, ukazującej się pod tytułem: „Students Aid Series”, przerobione i uzupełnione o-pisem szeregu nowych badań w dziedzinie embriologii.

P. MG. Moffat: Podręcznik oftalmologii (Aids to Ophthalmology). Wyd. Bailliers. 6 szyl. 270 stron. Z ilustracjami. 10-te poprawione wydanie z uwzględnieniem ostatnich badań. Zawiera informacje o najnowszych metodach diagnostycznych i leczniczych.

Historia literatury

B. Ilor Evans: Międzywojenna literatura angielska (English Literature between Wars). Wyd. Methuen. Stron 133. Cena 7 szyl. 6 pensów. Okres międzywojenny był zamkniętą epoką literatury — oto teza autora. Píše on również o zmianach, jakie zaszły w publiczności literackiej, jeżeli chodzi o aperepcję dzieła sztuki.

Oprócz tego w książce znajdujemy odrębne eseje o E. M. Forsterze, J. M. Joyce, Aldousie Huxley'u, D. H. Lawrence'ie i Virginii Woolf.

Teatr

Allardyce Nicoll: Rozwój teatru (The Development of the Theatre). Wyd. Harpur. 309 stron. Z ilustracjami. Cena 36 szyl. Jest to trzecie wydanie dzieła, uważanego w Anglii za klasyczne.

Barbara Mc Fadyean i Spike Hughes: Wieczory w operze. Cena 10 szyl. 6 p. 320 stron. Przewodnik po repertuarze operowym. Zawiera analizy i kilkadziesiąt przykładów muzycznych 16 najczęściej wystawianych oper. Dołączono listę najtańszych wydań do kupienia nagrań na płytach.

Film

Ernest Lindgren: Sztuka filmowa (The Art of the Film). Wyd. Allen i Unwin. 16 szyl. Z ilustracjami i 32 barwnymi tablicami.

Książka ta informuje o kanonach krytyki filmowej i daje ogólny zarys rozwoju techniki X Muzy.

Robert Spelaght: Dramat po 1939 r. (Drama since 1939). Wyd. Longmans. Cena 2 szyl. Z ilustracjami.

Autor tej książki to jeden z najlepszych aktorów i krytyków brytyjskich. Píše on tu o rozwoju teatru i o sztukach, które powstały i które wystawiano od roku 1939 w Anglii. Jest to jedna z monografii o sztuce, należąca do serii publikacji brytyjskich wydawanych dla British Council.

Pamiętniki

Pamiętniki André Gide'a (The Journal of André Gide) tłumaczył z francuskiego i opatrzył wstępem i objaśnieniami Justin O'Brien. Tom pierwszy obejmuje lata od 1889—1913. Wyd. Secker & Warburg. Stron 380. Cena 25 szyl.

André Gide zaczął pisać swoje pamiętniki mając lat 20 a opublikował je w 50 lat później. Pierwszy tom angielskiego tłumaczenia, opublikowany obecnie przez prof. Justina O'Brien z Columbia University — kończy się w roku 1913. Jest to jak gdyby płyta, na której Gide nagrał swoje myśli i wrażenia. Pamiętnik rzuca jasne światło na twórczość autora. Zapoznaję też z intelektualnymi prądami Francji w ćwierćwieczu poprzedzającym pierwszą wojnę światową.

*

Książki angielskie zamawiać można w firmie Gebethner i Wolff.

Przeliczenie księgarskie wynosi ca 70 zł. za 1 szyling.

Program koncertów BBC

nadawanych codziennie o godz. 22 na fal 1796; 48.54; 41.61 m.

Niedziela 22.2.48.: Brytyjski jazz (VIII).

Poniedziałek 23.2.48.: Brytyjska muzyka współczesna (VIII). Wykonanie Herberta Howells'a.

Wtorek 24.2.48.: Duet fortepianowy. Helena Pyke i Paul Hamburger. W programie Mozart i Schubert.

Środa 25.2.48.: Recital skrzypcowy w wykonaniu kwartetu skrzypcowego Grillera.

Czwartek 26.2.48.: Recital w wykonaniu zespołu śpiewaków BBC. Dyrygent Leslie Woodgate.

Piątek 27.2.48.: O muzyce w Szkocji mówi Herbert Wiseman.

Sobota 28.2.48.: Utwory Beethovena na fortepian (IX) Franz Reizenstein gra sonatę A-dur Op. 101 i rondo w tonacji G-dur.

ERIC NEWTON

PRAWDZIWE OBLICZE STARYCH MISTRZÓW

ODCZYSZCZANIE ARCYDZIEŁ SZTUKI (II)

ODCZYSZCZANIE obrazów nie jest prostą sprawą. Jeszcze mniej prosta jest reakcja, którą zabieg ten wywołuje. Od roku 1846, kiedy to wystawiono po odczyszczeniu „Królową Sabę” Claude’a, kilkakrotnie wybuchaly polemiki, pełne najgwałtowniejszych słów, wypowiedzianych przez najwybitniejsze osoby. „Nie waham się stwierdzić, że w obecnej chwili część obrazu jest całkowicie i na zawsze zniszczona” — tak pisał Ruskin o jednym z odnowionych obrazów Rubensa.

W katalogach wystawy odnowionych obrazów w National Gallery starano się przedstawić fakty możliwie najściślej, podając historię każdego obrazu. W oddzielnej sali znajdują się fotografie, przedstawiające obrazy przed, podczas i po odczyszczeniu, dalej obrazy odczyszczane do połowy, obrazy w różnych stadiach prac konserwatorskich, oraz fotografie dokonane promieniami Roentgena i promieniami ultrafioletowymi.

*

Powierzchnia obrazu po wyschnięciu farby wymaga ochrony. Ochronę taką stanowi zwykle werniks. Werniks jednak z czasem ciemnieje i żółknie, po czym, nałożony pędzlem, nie ma nigdy równej grubości, a zależnie od swej grubości właśnie zmienia barwę. W konsekwencji obrazy pokryte warstwą ściemniałego werniksu nie mają już tego samego wyglądu, jak w chwili, kiedy zostały po raz pierwszy namalowane. Są nie tylko ciemniejsze, lecz harmonia ich kolorów jest zakłócona. Każdy poszczególny kolor ulega zmianie pod wpływem żółtego odcienia werniksu. Kolor niebieski staje się zielony, a melistowy zamienia się w czarny, czerwony w pomarańczowy, a jedynie żółty mało się zmienia. Oczywiście tego rodzaju wpływy, zmieniające pierwotną intencję artysty, mogą spowodować poważne nieporozumienia. Obraz, przedstawiający żółte lilie Madonny, czy zielone kłosa zdumiałby botanika, a krytyka wprowił w zakłopotanie.

Werniks stanowi jeden problem — drugim jest domalowywanie przez późniejszych artystów, czasem dla naprawy uszkodzenia, częściej dla „poprawienia” obrazu



Chrystus niesie krzyż — Ribalta.
Przed odnowieniem

Omawiając w dalszym ciągu wystawę odnowionych obrazów w londyńskiej „National Gallery”, drukujem poniżej zapowiedziany artykuł znakomitego krytyka Erica Newtona.



Tak wygląda po odnowieniu „KOBIETA W KĄPIELI” — słynny obraz Rembrandta. Nie tylko nabrał czystych i żywych barw, ale — prawa ręka kobiety, którą jakiś renowator przemalował na swój sposób — wyszła tak, jak namalował ją Rembrandt.

ku zadowoleniu wymagań właściciela, lub gustu epoki. Np. w obrazie Rembrandta „Kobieta w kąpiel” jakiś malarz z końca XVIII lub początku XIX wieku przemalował rękę i ramię. Nieznany malarz z XIX w. znowuż całkowicie zamalował klęczącą postać świętego w obrazie Ribalt „Chrystus dźwigający krzyż”.

Istnieje jeszcze trzeci problem — mianowicie potęgająca się z biegiem lat przeźroczystość samej farby powoduje osiadanie cienkiej warstwy pigmentu, która na ciemnym tle staje się jeszcze ciemniejsza (obrazy Whistlera mocno na tym ucierpiały), zaś na jasnym — jaśniejsza. Tutaj konserwator jest bezsilny i im otwarciej się do tego przyznaje, tym lepiej.

Werniks można jednak zdjąć, a późniejsze warstwy domalowane można odkryć za pomocą naukowych przyrządów i w razie potrzeby usunąć.

*

Tyle o rzeczowej stronie problemu. Ma on jednak również i stronę psychologiczną. W sztuce, niemniej jak w naturze, wrażenie odbierane przez oko jest warunkowane tym, co ono przyzwyczało się widzieć. W jaki sposób potrafimy inaczej ocenić intencje Velazqueza czy Rubensa, niż na podstawie ich dzieł? A cóżby było, gdyby się okazało — jak to zwykle bywa, — że wszystkie ich obrazy są brudne? Gdybyśmy oglądali górników wyłącznie w chwili powrotu z kopalni do domu — ujrzenie nagle ich różowej skóry byłoby zdumiewającym zaprzeczeniem naszych zwykłych wrażeń. Takie samo zdumienie wywołałby czysty kobalt nieba w obrazie Rubensa po znanym, zielonkawym odcieniu, nadanym mu przez werniks. To samo odnosi się do wrażenia, jakie sprawia na nas teraz śmiałe potraktowanie ręki i ramienia w rembrandtowskiej „Kobiecie w kąpiel”, po usunięciu późniejszej, bardzo wypracowanej domalówki. Nic dziwnego, że odcyszczony obraz powoduje zawsze pewien wstrząs — zwłaszcza jeśli pochodzi z wcześniejszych epok, równie ulegających wpływom swojej opinii, która sugerowała, jak obraz starego mistrza powinien wyglądać. Pod jej wpływem starano się kopiować brudny ko-

loryt obrazów, a nawet pokrywać go sztucznie przyciemnionym werniksem.

*

Nie wcześniej, jak dopiero w drugiej połowie XIX w. impresjonizm oczyścił paletę malarzy: nasze upodobanie do brązów i czerni zaczęło zanikać. Warto podkreślić, że wczesne protesty przeciw impresjonizmowi były również mało rzeczowe. „Niezgodne z naturą” i „Niezgodne z Velazquezem” były to określenia wypowiedziane tym samym tonem. Dla artysty odcyszczony Velazquez był czymś w rodzaju czczonego proroka, którego ktoś pozbawił czcigodnej brody. Stracił równocześnie majestat i urok.

Naturalnie zaskoczone oko niechętnie przyznaje, że zostało zaskoczone kolorem, położonym przez Velazqueza czy Rubensa. Ten wstrząs musi znaleźć jakieś usprawiedliwienie. Protest bardzo rzadko wyraża się w słowach: — „Teraz, gdy widzimy obraz takim, jakim był w chwili, gdy wyszedł z pracowni artysty, przynajmniej otwarcie, że nam się wcale nie podoba”. Usprawiedliwienie tego wrażenia wygląda zwykle tak: — „Wasi konserwatorzy zniszczyli obraz — mój obraz, obraz całego narodu — przez niezręczne szorowanie. Delikatne błyski, subtelne odcienie na zawsze stracone!”

*

Oczywiście krytyk może mieć rację. Z pewnością może się zdarzyć, że niewprawy konserwator usunie błyski i z pewnością wiele obrazów uległo w przeszłości zniszczeniu. National Gallery zdaje sobie sprawę z ryzyka, a wystawa ta jest uczciwą próbą pokazania wyniku szeregu precyzyjnych robót, wykonanych z całą starannością jaką wiedza i rutyna może dostarczyć oraz z wszystkimi ostrożnościami, opartymi o doświadczenia naukowe, przewyższające wszystkie dawniejsze osiągnięcia w tej dziedzinie.

Starzy mistrzowie wzbudzają u ludzi szacunek i podziw, lecz podziwiający nie zawsze zdaje sobie sprawę, czy to ręka geniusza, czy też patyna czasu wywołuje jego zachwyt. Wystawa obecna daje doskonałą okazję do zorientowania się w tej sprawie.



Zamalowana postać obok Chrystusa, niewidoczna przed odnowieniem (patrz reprodukcja po lewej stronie) wyszła na jaw po odczyszczeniu i odnowieniu obrazu.

English without Tears

SUNDAY: South African English. The second of a series of programmes describing the characteristics of English speech in different parts of the British Commonwealth.

MONDAY: (Elementary) Uses of the words say, tell, speak and talk. See text below.

TUESDAY: (Elementary) „Ann and her Grandfather” conversation. See text below.

Lekcja sto siedemnasta

SAY, TELL, SPEAK AND TALK

1ST VOICE: English by Radio! Today we're going to talk about four verbs: to say, to tell, to speak, and to talk.

2ND VOICE: These verbs have sometimes a similar meaning, but they are not used in quite the same way. First of all, the verb to say.

1st V: Did you say something?

2nd V: The verb say is generally followed by an object, telling you what is said.

1st V: I said something. He said nothing.

2nd V: What did you say?

1st V: Mr. Brown said that he would be late home. In that example the object of the verb say was a clause, or part of a sentence, beginning with the word that. Mr. Brown said that he would be late home.

2nd V: Mrs. Brown said that it was a pity.

1st V: Very often the verb say is used with an indirect object. We say something to someone. For instance:

2nd V: Mrs. Brown said something to John. To John is the indirect object; the person to whom something is said. Mrs. Brown said something to John. She said to him: „Please shut the door, John”.

1st V: So, remember, listeners: the verb say generally has a direct object. You say something. And you often have an indirect object, with the word to in front of it. You say something to someone.

2nd V: And you use the verb say when you are giving the actual words which anyone uses.

1st V: Now the verb tell is used a little differently. It often means to give information about. For instance:

2nd V: The shop assistant told Mrs. Brown the price.

1st V: You generally tell somebody something. He told Mrs. Brown the price.

2nd V: Notice that with the verb tell the indirect object need not have to be in front of it. And when there is no to, the indirect object generally comes before the direct object. For example:

1st V: He told Mrs. Brown the price. He told her the price.

2nd V: The direct object of tell can also be a clause. For instance:

1st V: The grocer told Mrs. Brown that the price had gone up.

2nd V: But notice that, if we want to give the actual words which anyone has used we cannot use tell; we must use say. The grocer said to Mrs. Brown: „The price has gone up”.

1st V: Then the verb tell is often used to give orders. For instance: Mrs. Brown told the telegraph boy to wait.

2nd V: Now we'll just say a few words about the verbs speak and talk.

1st V: The verb to speak means to use language, to say words aloud in any circumstances. It describes the act of using language rather than the passing on of information to another person.

2nd V: The verb talk, on the other hand, emphasises that what one is saying is intended for someone else to hear. Here are some sentences showing the use of these verbs.

1st V: The child hasn't learned to speak yet.

2nd V: I want to learn to speak English well.

1st V: The man spoke kindly to the small boy.

WEDNESDAY: (Elementary) Popular song: „These Foolish Things”.

THURSDAY: (Advanced) „Brown Family” conversation.

FRIDAY: (Advanced) „Look it up in...” A dialogue to acquaint listeners with the standard reference books used by English people.

SATURDAY: (Advanced) Answers to listeners' questions.

POWIEDZIEĆ, OPOWIADAĆ, MÓWIĆ, ROZMAWIAĆ

GŁOS I: Angielski przez radio! Dziś będziemy mówić o 4 czasownikach: powiedzieć, opowiedzieć, mówić i rozmawiać.

GŁOS II: Czasowniki te mają czasem podobne znaczenie, ale nie używa się ich zupełnie w ten sam sposób. Najpierw czasownik: powiedzieć.

GŁOS I: Czy powiedziałaś coś?

GŁOS II: Po czasowniku powiedzieć następuje zwykle przedmiot, objaśniający, co zostało powiedziane.

GŁOS I: Ja coś powiedziałem. On nic nie powiedział.

GŁOS II: Co ty powiedziałaś?

GŁOS I: P. Brown powiedział, że będzie późno w domu. W tym przykładzie przedmiotem czasownika powiedzieć było zdanie poboczne lub część zdania zaczynającego się od słowa że. P. Brown powiedział, że będzie późno w domu.

GŁOS II: Pani Brown powiedziała, że to szkoda.

GŁOS I: Bardzo często czasownik powiedzieć użyty jest z przedmiotem dalszym. My powiedzieliśmy coś do kogoś. Na przykład:

GŁOS II: Pani Brown powiedziała coś do Jana. Do Jana jest to przedmiot dalszy; osoba, do której coś jest powiedziane. Pani Brown powiedziała coś do Jana. Ona do niego (mu) powiedziała: „Proszę zamknij drzwi, Janie”.

GŁOS I: A więc zapamiętajcie słuchacze: czasownik powiedzieć ma zwykle przedmiot bliższy. Powiadacie coś. I często macie przedmiot dalszy ze słowem do na początku. Powiadacie coś do kogoś.

GŁOS II: I używacie czasownika powiedzieć, kiedy podajecie (przypadkowe) własne słowa, których ktoś używa.

GŁOS I: A teraz czasownik opowiadać używany jest trochę inaczej. Często oznacza udzielenie wiadomości o czymś. Na przykład:

GŁOS II: Ekspedient opowiedział (powiedział) pani Brown cenę.

GŁOS I: Zwykle opowiadasz komuś coś. Opowiedział (powiedział) pani Brown cenę.

GŁOS II: Zauważ, że przy czasowniku opowiadać przedmiot dalszy nie potrzebuje mieć przed sobą słowa do. A jeśli nie ma słowa do, przedmiot dalszy zwykle przychodzi przed przedmiotem bliższym. Na przykład:

GŁOS I: On opowiedział (powiedział) pani Brown cenę. On opowiedział (powiedział) jej cenę.

GŁOS II: Przedmiot bliższy czasownika opowiadać może być również zdaniem pobocznym. Na przykład:

GŁOS I: Sklepiarz opowiedział (powiedział) pani Brown, że cena podskoczyła w górę.

GŁOS II: Ale zauważ, że jeśli chcemy użyć słów własnych, których ktoś użył, nie możemy użyć (czasownika) opowiadać; musimy użyć: powiedzieć (mówić). Sklepiarz powiedział do p. Brown: „Cena podskoczyła w górę”.

GŁOS I: Następnie czasownik opowiadać jest często używany do dawania rozkazów. Na przykład: Pani Brown opowiedziała (powiedziała) posłańcowi, żeby zaczekał.

GŁOS II: A teraz powiemy kilka słów o czasownikach mówić i rozmawiać.

GŁOS I: Czasownik mówić znaczy używać mowy wymawiać na głos słowa we wszystkich okolicznościach. Określa on raczej akt posługiwania się mową, niż przekazywanie wiadomości innej osobie.

GŁOS II: Z drugiej strony czasownik rozmawiać podkreśla, że to, co ktoś mówi, jest przeznaczone, by ktoś inny to usłyszał. Oto kilka zdań, wskazujących zastosowanie tych czasowników.

GŁOS I: Dziecko nie nauczyło się jeszcze mówić.

GŁOS II: Chce się nauczyć dobrze mówić po angielsku.

GŁOS I: Mężczyzna mówił przyjaźnie do małego chłopca.

2nd V: When I meet her I shall speak to her, even if she doesn't speak to me.

1st V: Mrs. Brown has been talking to Ann. They talked for hours.

2nd V: What were they talking about?
1st V: They were talking about clothes.

2nd V: Mr. Brown thinks women talk too much.

1st V: Well, we mustn't talk any longer listeners. It's time to say goodbye now.

GRANDFATHER'S GARDEN GATE

GRANDFATHER: There's that gate open again. Why can't the paper-boy shut the gate after him? I've told him to often enough. I'm always telling him about it. Now where's Ann? Oh, there you are, Ann!

ANN: Hello, Grandfather. I thought there was someone with you. I thought I heard you talking to someone.

G.FATHER: I was talking to myself.

ANN: Oh, Grandfather, that's bad. People say it's as good as mad to talk to oneself.

G.FATHER: Don't talk nonsense, Ann. It's nothing of the kind.

ANN: What's the matter, Grandfather? Tell me what you were saying to yourself when I came in just now. You sounded quite angry.

G.FATHER: It makes me angry when people won't shut the garden gate after them—letting the dogs in. And after now I can see two cats in the garden.

ANN: Yes, Grandfather; one's ours and the other's the Brown's cat.

G.FATHER: Oh, I can't tell one from the other.

ANN: That's because you don't like cats, Grandfather.

G.FATHER: Don't talk to me about cats, Ann. It was the Brown's cat that killed my canary, my little Montague.

ANN: Yes, Grandfather. That was sad. The Browns were talking about it only the other day and they said how sorry they were. Ah, here's the postman. He always shuts the gate after him. I'll get the letters...

G.FATHER: Are there any letters for me?

ANN: There's one for me from Joan.

G.FATHER: I said: „are there any letters for me?”

ANN: No, Grandfather, not one. I must open Joan's letter now. She was going to tell me about Paul. He asked her to marry him, you know, and she couldn't make up her mind.

G.FATHER: That's the first I've heard about it. Nobody tells me anything. Well, what does she say? Is she going to marry Paul?

ANN: I can't tell yet from her letter. She says Paul wants her to go and stay with his people. Perhaps that would help her to make up her mind.

G.FATHER: Well, she shouldn't keep him waiting. She should make up her mind one way or the other and say yes or no. Has Joan met any of his people?

ANN: No, but Paul's often talked to her about them. I expect he's told her all about them.

G.FATHER: Does she say anything about the house we looked at last week for her and her mother? We won't look at any more houses until she tells us what she's going to do about Paul. Oh, look, Ann: there's the paper-boy in the road! I'll just go and tell him what I think of him...

ANN: There's Grandfather talking to the boy. I wonder what he's saying... Well, Grandfather?

G.FATHER: I spoke very sharply to that boy. I don't think he'll ever forget to shut our gate again!

ANN: Oh, Grandfather —
G.FATHER: Well Ann, what are you laughing at? Speak up and tell me what you were going to say.

ANN: Only that you've forgotten to shut the gate yourself, Grandfather.

GŁOS II: Kiedy ją spotkam, będę do niej mówił, nawet jeśli ona nie będzie do mnie mówiła.

GŁOS I: Pani Brown rozmawiała (mówiła) do Anny. Rozmawiały godzinami.

GŁOS II: O czy one rozmawiały?
GŁOS I: Rozmawiały o sukniach.

GŁOS II: Pan Brown uważa, że kobiety rozmawiają (mówią) za dużo.

GŁOS I: A zatem, nie powinniśmy już rozmawiać dłużej słuchacze. Czas już żebyśmy powiedzieli sobie do widzenia.

Lekcja sto osiemnasta

DZIADKOWA FURTKA DO OGRODU

DZIADEK: Oto furtka znówu otwarta. Dlaczego roznosić gazet nie może zamknąć furtki za sobą? Dostać często już mu to opowiadałem (mówiłem). A tenaz gdzie jest Anna? A jesteś tu Anno!

ANNA: Jak się masz, dziadku. Myślałam, że ktoś był z tobą. Wydawało mi się, że słyszałam cię, rozmawiającego z kimś.

DZIADEK: Rozmawiałem ze sobą. (Mówiłem sam do siebie).

ANNA: Oh, dziadku, to źle. Ludzie powiadają, że to oznaka pomieszczenia umysłów rozmawiać ze sobą (mówić do siebie).

DZIADEK: Nie opowiadaj głupstw Anno. Nie jest to nic w tym rodzaju.

ANNA: O co chodzi, dziadku? Opowiedz mi, co powiadałeś (mówiłeś) do siebie, w chwili kiedy nadchodziłam. Wyglądałeś całkiem rozgniewany.

DZIADEK: Gniewa mnie, gdy ludzie nie chcą, zamknąć furtki od ogrodu za sobą — wpuszczając psy do środka. A teraz widzę dwa koty w ogrodzie.

ANNA: Tak, dziadku; jeden jest nasz, a drugi to kot pp. Brownów.

DZIADEK: Och nie mogę opowiedzieć (rozpoznać) jednego od drugiego.

ANNA: To dlatego, że nie lubisz kotów, dziadku.

DZIADEK: Nie rozmawiałem ze mną (mów mi) o kochanym Anno. To właśnie kot Brownów zabił (zadusił) mojego kanarka, mojego małego Montague.

ANNA: Tak, dziadku. To było smutne. Brownowie rozmawiali o tym zaledwie tamtego (poprzedniego) dnia i powiadał (mówił), jak im jest przykro. Ah, oto jest listonosz. On zawsze zamyka furtkę za sobą. Dość (przynajmniej) listy...

DZIADEK: Czy są jakieś listy do mnie?

ANNA: Jest jeden dla mnie od Joan.

DZIADEK: Powiedziałem: „Czy są jakieś listy dla mnie?”

ANNA: Nie, dziadku, ani jednego. Muszę otworzyć teraz list od Joan. Miała mi opowiedzieć o Pawle. Wiesz, że on nie o nią oświadczył, a ona nie mogła się zdecydować.

DZIADEK: Pierwszy raz o tym słyszę. Nikt mi o niczym nie opowiada. A zatem, co ona powiada (mówi, donosi)? Czy wyjdzie za Pawła?

ANNA: Nie mogę jeszcze tego opowiedzieć (powiedzieć) z jej listu. Powiada (mówi, donosi), że Paweł chce, by ona przyjechała i zabiła u jego rodziny. Może to jej pomoże w powzięciu decyzji.

DZIADEK: Otóż nie powinna kazać mu czekać (trzymać go w niepewności). Powinna tak, czy inaczej zdecydować się i powiedzieć, tak czy nie. Czy Joan spotkała (zna) kogoś z jego rodziny?

ANNA: Nie, ale Paweł często rozmawiał z nią (mówił do niej) o nich. Sądzę, że on opowiedział jej o nich wszystko.

DZIADEK: Czy powiada (mówi, pisze) coś o domu, który oglądaliśmy w zeszłym tygodniu dla niej i jej matki? Nie będziemy oglądać więcej żadnego domu, jeśli ona nam nie opowie, co postanowiła z Pawłem. Ah, patrz Anno: oto roznosić gazet na drodze! Pójdę zaraz i opowiem (powiem) mu, co o nim myślę...

ANNA: I oto dziadek rozmawia z chłopcem. Zastanawiam się, co on mu powiada (mówi)... I cóż, dziadku?

DZIADEK: Mówiłem bardzo ostro do tego chłopca. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zapomniel znowu zamknąć naszą furtkę.

ANNA: Oh, dziadku!
DZIADEK: I cóż Anno, z czego się śmiejesz? Przemów (odezwij się) i opowiedz mi, co chcesz powiedzieć.

ANNA: Tylko to, że sam zapomnieliś zamknąć furtkę, dziadku.



J. S. Warszawa. Nie mogąc nigdzie dowiedzieć się adresu redakcji dziennika „Daily Worker”, organu komunistycznej partii w Anglii, zwracam się do Szanownej Redakcji o podanie mi jego. Myślę, że Sz. Redakcja przychyli się do mojej prośby, za co z góry dziękuję, zasyłając życzenia dalszej pomyślnej pracy nad pogłębieniem przyjaźni polsko-angielskiej. Poniżej podajemy adres redakcji Daily Worker: People's Press Printing Society Ltd., 324, Gray's Inn Road, London W. C. 1.

S. B. Szczecin. Chciałbym zaprenumerować czasopismo techniczne o eksploatacji, konserwacji i budowie urządzeń portowych i przeładunkowych. Prosiłbym o podanie nazwy czasopisma. Chodzi mi również o książki traktujące w sposób wyczerpujący dziedzinę uzbrojenia nadbrzeży portowych.

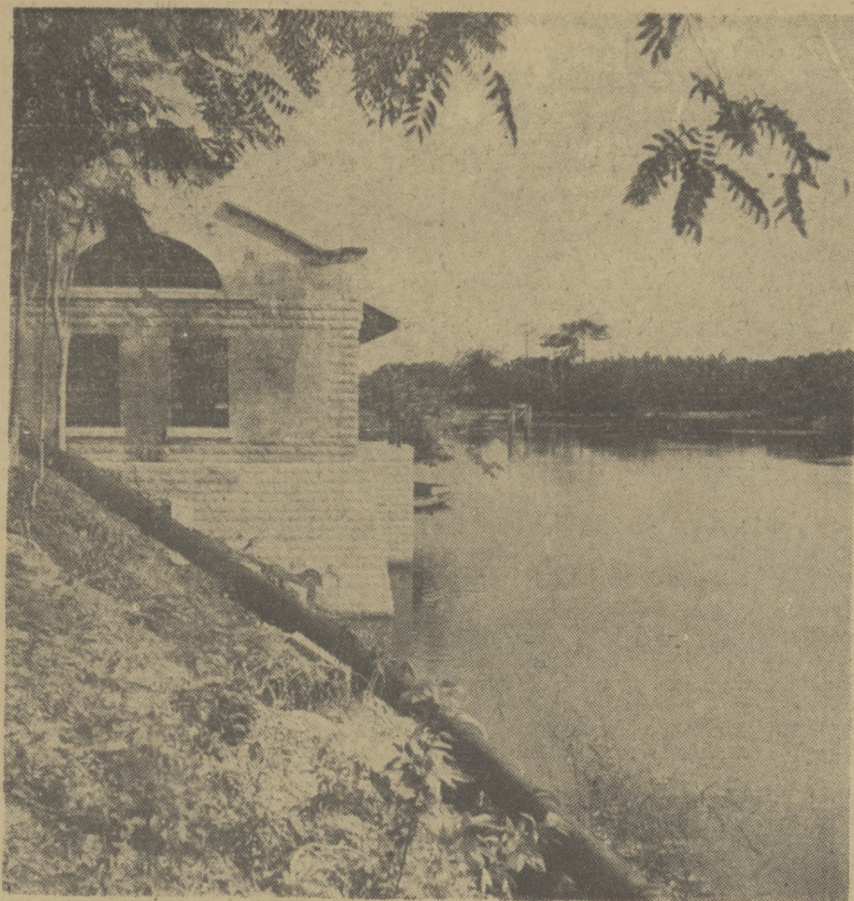
Rodzimy panu zaprenumerować za pośrednictwem księgarni Gebethnera i Wolffa czasopismo Shipbuilding and Shipping Record (33, Tothill Street, Westminster, London, S. W. 1.). Sądzimy, że redakcja tego pisma wskaże panu również interesujące pana książki, których tytułów my niestety nie potrafimy podać.

*

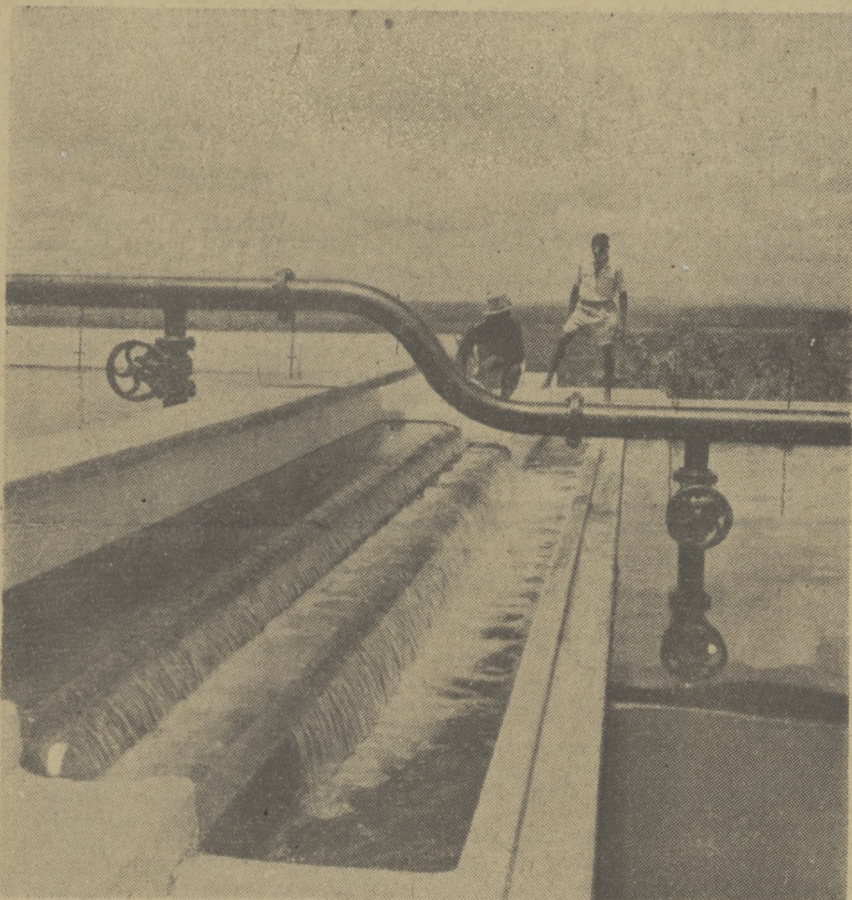
Poniżej zamieszczamy pierwszą odpowiedź na postawione przez nas w nr 6 pytanie, czy według zdania naszych polskich Czytelniczek kobieta zamężna powinna pracować zawodowo, czy też tylko zajmować się domem. Mamy nadzieję, że więcej Czytelniczek zechce zabrać głos w tej dyskusji.

I. M. Oborniki. Zdobywanie nowych praw równych mężczyznom i wyzwolenie się spod niewolniczej zależności, był to ogromny krok postępu XIX wieku. Wykazał to niezwykle aktywny i owocny udział kobiet w działalnościach na każdym odcinku życia. Nie wolno nam więc uważać równouprawnienia za „błąd czy głupstwo”. Kardynalnym jednak i niewybaczalnym błędem jest to, że zaczęliśmy zapominać, że jesteśmy kobietami. A „spod praw natury emancypować się nam nie wolno”. Sędziwość i ciepło obojętka, większa subtelność i wrażliwość czynią nas w połączeniu z pełnym zrozumieniem podjętego zadania prawdziwymi kapłankami domowego ogniska i tam jest nasze najwłaściwsze miejsce. Jeśli więc sytuacja gospodarcza poprawi się tak dalece, że zarobki naszych mężów będą wystarczające, należałoby pracę zawodową bezwzględnie porzucić. Dzielać siebie bowiem między dwa fronty, będziemy ponosiły straty na jednym lub na drugim, a najczęściej na domowym. Bez wątpienia istnieją kobiety umiejące spełniać swe podwójne obowiązki, ale tych jest nieproporcjonalnie mało, że pominiąć je musimy w naszych dyskusjach. Praca dla najbliższych to nie aspołeczność, ale właśnie dowód wysokiego społeczeństwa. Społeczeństwo bowiem składa się z jednostek, które żyją życiem rodzinnym i w jakim stopniu zdobędą w domu poczucie miłości bliźniego i solidarności, w takim stopniu można się go spodziewać od społeczeństwa. By wychować jednostkę wartościową, trzeba od pierwszej chwili jej istnienia trzymać rękę na pulsie jej duchowego życia i przemian, zmieniać, uzupełniać i uszlachetniać. Czyż to jest możliwe, gdy kobieta trzy czwarte dnia spędza poza domem? Dom stanie się wkrótce dla jej męża i dzieci jadalnią i nierzadko więzią. Oddanie się pracy dla najbliższych nie oznacza wcale zasklepienia się w niej. W codziennym rozkładzie zajęć kobiety winna się znaleźć przynajmniej jedna godzina na samokształcenie. Jeszcze jeden akt przemawia za tym byśmy więcej troski i uwagi przykładły do obowiązków żony i matki. Człowiek dopiero wtedy czuje się szczęśliwy, gdy zajęcia, które wypełnia rozwija jego możliwości twórcze, wyzyskuje jego zdolności. A cóż bardziej niż życie matki i żony wykształca złożone w nas „talenty”?

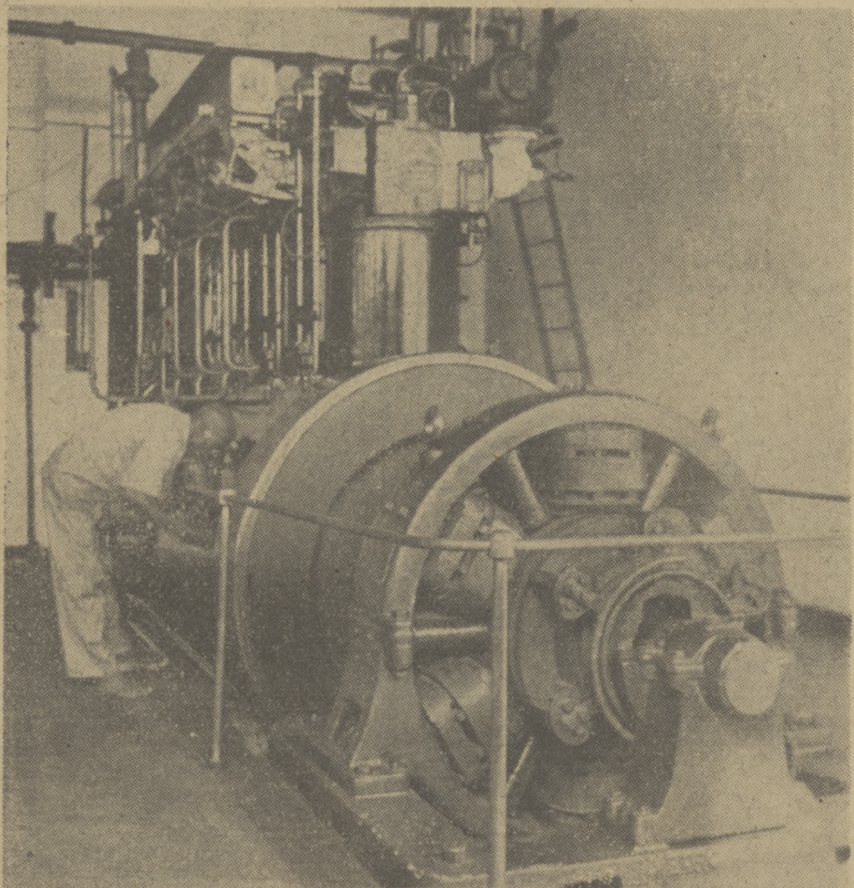
Dziękujemy za wyczerpującą odpowiedź. Podkreślając słusznie, ważną rolę kobiety w wychowaniu dzieci, nie wzięła Pani pod uwagę coraz silniej zarysowującego się kierunku, zmierzającego do oddawania dzieci pod opiekę i na wychowanie państwu lub instytucji społecznych. Sądzimy, że i na ten temat warto wypowiedzieć swoje opinie.



Stacja pomp przy elektrowni wodnej. Stąd wody z rzeki Densu posyła się rurami do stoli Złotego Wybrzeża, Accry, liczącej 100 tys. mieszkańców.



Urządzenia wodociągów w Weijsu. Tymi właśnie rurami wędruje woda do Accry.



Wnętrze ultranowoczesnej stacji pomp w Weijsu (Złote Wybrzeże).

Ujarczmiamy rzeki Afryki Środkowej

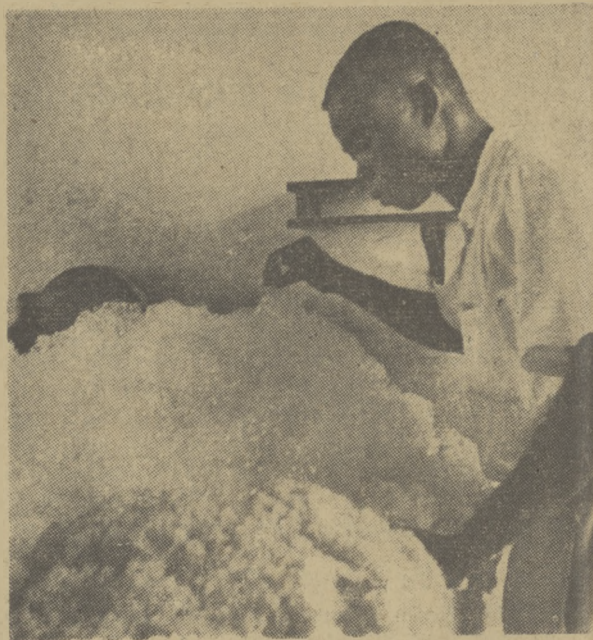
MIĘDZY dwoma olbrzymimi dolinami, przecinającymi w poprzek Afrykę Wschodnią, z których jedna ciągnie się od Palestyny aż do ujścia Zambezi — leży jezioro Victoria Nyanza. Jest ono położone wysoko na terenie wzniesienia pojezierza Afryki Centralnej, tworząc niemal śródlądowe morze o powierzchni równej Szkocji. Z niego właśnie wypływa Nil — najbogatsza w historyczną przeszłość rzeka świata. 40 lat temu p. Winston Churchill w swojej książce „Moje afrykańskie podróże” — opisał wodospady w pobliżu miasta Jinja w protektoracie Uganda, gdzie wody Nilu spadają w kaskadach z jeziora Victoria do jeziora Kyoga:

„Musieliśmy spędzić jakieś trzy godziny na przyglądaniu się wodospadom i obmyślaniu planów ujarczmięcia ich. Tyle marnującej się energii, tyle niewykorzystanych możliwości, taki wspaniały środek do wyzyskania naturalnych sił Afryki, nieujęty, może tylko niepokoić i podniecać wyobraźnię. A co za przyjemność zmusić nieśmiertelne wody Nilu do rozpoczęcia swego biegu poprzez turbiny!”

Dziś plany zmuszania Nilu do przejścia „poprzez turbiny” są w stadium przygotowawczym. Opublikowano projekt, nazwany „Planem elektryfikacji Ugandy 1927”, który rząd przedłożył do zatwierdzenia radzie ustawodawczej Ugandy. Proponuje on budowę siłowni hydro-elektrycznej przy wodospadzie Owen na Nilu, której koszt wyniesie ponad 4 miliony funtów, a całkowita wydajność efektywna — 75.000 kW. Obecnie elektrownie pędzone są paliwem drzewnym lub ropą. Energia osiągalna ze spadku wód wodospadu Owen równa się 400 tysiącom ton węgla lub 150 tys. ton ropy, których koszt wynosi 1½ miliona funtów rocznie. Oszczędność, którą można osiągnąć przez ten plan, ilustruje wstępne obliczenie, przewidujące, że w r. 1960 jednostka elektryczności kosztować będzie 8 centów, czyli mniej niż 1 penny, podczas gdy obecnie kosztuje 22,5 centa (2,7 pensów) w Kampala i 31,1 centów (3,7 pensów) w Jinja. Równocześnie zasób dostępnej energii będzie znacznie większy niż obecnie. Poza zwiększeniem zużycia prądu w domach, szpitalach, hotelach, elektryczność będzie zaprowadzona w przedsiębiorstwach bawełny, w cukrownictwie, przy złożach fosfatu w Tororo (skąd nawozy sztuczne zostaną prawdopodobnie wykorzystane przez wielki wschodnio-afrykański plan uprawy orzeszka ziemnego), oraz w projektowanej przedalni. Tani prąd elektryczny dostarczany aż na tereny Zachodniej Kenii, utworzyłby widoki dla wzmoczonego planu elektryfikacji wsi na obszarach rolniczych dokoła Kitale.

Ponieważ plan hydro-elektryczny nie będzie ukończony przed 1952 r., projekt przewiduje w międzyczasie wybudowanie 2 siłowni termicznych po 4.000 kW każda. Tym sposobem nie zmarnuje się czasu. Rząd będzie nadzorował całość dostawy prądu elektrycznego z Ugandy za pośrednictwem przedsiębiorstwa społecznego, które przejmie w Ugandzie aktywa Wschodnio-Afrykańskiego Towarzystwa Napędu i Światła, przy czym, w razie niedojścia do porozumienia między rządem a Towarzystwem — sąd rozstrzygnie wysokość kompensacji.

Również dalej na południe, w obu Rodezjach studiuje się i przygotowuje plany ujarczmięcia energii wodnej. Gardziel Kariba znajduje się na rzece Zambezi, która płynie na granicy między zależnością Północnej Rodezji, a wyposażoną w samorząd kolonią Południowej Rodezji. Dalej na północ, na dopływie Zambezi — Kafue, jest inna gardziel rzeki, stanowiąca źródło potencjalnej energii hydro-elektrycznej. Obie te gardziele badane są przez Radę Centralnej Afryki — jednostkę, złożoną z przedstawicieli obu Rodezji i Nyasalandu, która



Codzienne badania chemiczne wody — gwarantują jej czystość mieszkańcom stolicy Złotego Wybrzeża.

zajmuje się sprawami wspólnymi dla tych trzech terytoriów. W oficjalnym sprawozdaniu z przeprowadzonych badań gardzieli Kariba zaproponowano budowę tamy o wysokości 74,1 m na przestrzeni 2849 km², o pojemności wód, odpowiadającej czterem największym tamom amerykańskim razem wziętym. Ma być utworzone jezioro o 643 km linii wybrzeża, które będzie dostarczać energii i nawadniać oba brzegi rzeki — aż do pasa złóż miedzianych w Północnej Rodezji; dolinę na południe od Zambezi, nawiedzoną plagą muchy tse-tse, która według obliczeń może być oczyszczona i oddana pod uprawy takich produktów tropikalnych, jak: ryż, cukier, kukurydza i rośliny włókiennicze oraz tereny środkowe Południowej Rodezji, które są głównymi dostawcami złota, chromu i azbestu będąc zarazem siedzibą nowego przemysłu stalowego i bawełnianego, oraz bogatym obszarem rolniczym.

W Nigerii, w Afryce Zachodniej, wielki plan 10-letni przewiduje wydatki w wysokości 1.800.000 funtów (z czego 370.000 funtów jest wolnym zasilem rządu W. Brytanii) na rozbudowę źródeł elektryczności tego terytorium. Tu całe przedsięwzięcie ma być własnością państwową. Dostawa energii ma być rozszerzona na 40 nowych miast. Na suchych terenach północnych będzie ona wytwarzana głównie przez węgiel, ropę, drzewo i olej ziemny. Lecz na południu i w Kamerunie wszystkie możliwości hydro-elektryczne będą wyzyskane. Obecnie przeprowadza się badania na obszarze rzeki Njoka w Kamerunie.

Jeszcze inne korzyści można osiągnąć z tych planów, niezależnie od dostawy prądu elektrycznego. Sprawozdanie z badań Ugandy np. wspomina o omawianej obecnie propozycji podniesienia poziomu jeziora Victoria o 1 m dla celów magazynowania energii: „Jeśli uda się dojść do porozumienia z rządem Egiptu, wówczas można będzie powiększyć potencjonalną wydajność mocy hydro-elektrycznej siłowni przy wodospadach Owen z 75.000 do około 110.000 kilowatów”. Możliwość kontrolowania poziomu jeziora Victoria i Kyoga ułatwi zarazem wjazd okrętów do mniejszych portów w różnych porach roku, zapewni szerokie możliwości uprawy ryżu na brzegach jeziora Kyoga, uprosi prace zwalczania malarii (zarówno Jinja jak i stolica Entebbe, leżą nad jeziorem Victoria) oraz umożliwi, przez kontrolę wylewów, tępienie muchy Mbwa, która sprawia, że 2589 km² ziemi na północ od Jinja leży odłogiem.

Podobne roboty wodne planowane są na rzece Zambezi. Za pomocą 16 do 17 kanałów uczyni się ją splawną na przestrzeni 205 km od Livingstone w Płn. Rodezji poprzez Bechuanaland do Barotseland w Płn. Rodezji. Lecz plany te należą jeszcze do dalekiej przyszłości. Na wszystkie te roboty przeznaczono olbrzymie sumy, mianowicie: 120 milionów funtów, ofiarowanych w formie zasiłku z Funduszu Rozwoju i Dobrobytu Brytyjskich Kolonii, zebranego w czasie wojny przez same kolonie, 1.750.000 funtów z Towarzystwa Rozwoju Rolniczego Kamerunu, 26 milionów funtów ze Wschodnio-Afrykańskiego Planu Uprawy Orzeszka Ziemnego, oraz 100 milionów funtów z Towarzystwa Rozwoju Kolonii. Wszystkie te organizacje założone zostały w ciągu ostatnich kilku lat.

Gigantyczne plany i roboty dowodzą, że brytyjskie kolonie w Afryce Środkowej, zarówno jak i na innych obszarach, przygotowują grunt pod wielką rewelację ekonomiczną. Elektryczność, którą uzyska się z realizacji wymienionych planów, potrzebna jest jako podstawowe źródło energii dla długiego okresu przemysłowego rozwoju.



Oczyszczanie zbiorników wodnych wodociągów w Weijsu.